



PROLETARIUSZ
WSZYSTKICH
KRAJÓW —
ŁĄCZCIE SIĘ!

Głos Nauczycielski

Tygodnik społeczno-oświatowy

ROK I NR 32

WARSZAWA, 6 SIERPNIA 1967 R.

CENA 80 GR



»GŁUCHONIEMI«

W dniach 10—17 sierpnia br. odbędzie się w Warszawie V Kongres Światowej Federacji Głuchych. W programie Kongresu czytamy:

„Kongres pragnie przedstawić osiągnięcia współczesnych nauk: pedagogiki, psychologii, medycyny, elektroakustyki, nauk społecznych i innych zmierzających do włączenia głuchych na równi

ze słyszącymi do życia codziennego i pracy zawodowej;

pragnie pokazać organizację oraz metody wychowania i nauczania ze szczególnym zwróceniem uwagi na opanowanie języka umożliwiające głuchym osiągnięcie wszechstronnego rozwoju, przygotowanie do pracy zawodowej i brania aktywnego udziału w życiu społecznym”.

ANDRZEJ ORACZ

Literatura pozostawiła nam wstrząsający obraz losów głuchoniemego*). Zalekziony, nieśmiały, bez możliwości porozumienia z otoczeniem, unikający ludzi w obawie przed wyśmianiem czy poniżeniem, zamknięty w sobie, wykonujący swoją pracę w pokorze, dokładnie, a jednocześnie w uzasadnionym lęku przed krzywdą, która może go spotkać z najmniej oczekiwanego powodu. Tyle literacki obraz.

A ŻYCIE?

Jako autor artykułu „Szkołnictwo specjalne na cenzurowanym”, zamieszczonego w 5 numerze „Głosu Nauczycielskiego” — miałem ostatnio możliwość poznać bliżej pracę Zakładu dla Dzieci Głuchych w Gołotczyźnie k. Ciechanowa. Nie przyjechałem tu z kurtuazyjną wizytą, lecz po to, by w konfrontacji z praktyką móc utwierdzić się w słuszności tez wspomnianego artykułu, stawiającego szereg postulatów usprawnienia pracy tego szkolnictwa.

Z prawdziwym szacunkiem przyglądałem się ciężkiej i żmudnej, wymagającej nadludzkiej wprost cierpliwości, nadwyzwyczajnego oddania i ogromnej wiedzy, miłości do nieszczęśliwych dzieci — pracy

wychowawców i personelu Zakładu. Nigdy nie uwierzylibym, że nauczanie dziecka wymowy i zrozumienia jednego słowa — to praca pochłaniająca niejednokrotnie czas, w którym nauczyciel w normalnej szkole może przerobić z uczniem prawie pół podręcznika. Słowo to, początkowo trudno zrozumiałe dla niewprawne ucha, napędza największą radością samego nauczyciela, który wierzy, że pierwszy z sensem wypowiedziany wyraz — to początek rewalidacji.

Przebywający z wizytą w Zakładzie rodzice nie ukrywaniem zdumieniem obserwują pracę nauczycieli i wychowawców, śledzą postępy swych dzieci w porozumiewaniu się ze światem zewnętrznym. Słuchają rad i wskazówek.

Ale właśnie z ust rodziców dowiedziałem się, że literacki obraz „głuchoniemego” ma swoje odzwierciedlenie w życiu.

Opowiadano mi o okrutnym traktowaniu ich dzieci przez rówieśników i środowisko wiejskie przed rozpoczęciem nauki w Zakładzie, o obawie wyjazdu dziecka na wakacje do domu rodzinnego właśnie z lęku przed pośmiewiskiem otoczenia.

Dowiedziałem się historii chłopca, absol-

(Dokończenie na str. 8)

NAJLEPIEJ OCENIAJĄ »SKAZANI NA PROWINCJĘ«

TADEUSZ SOCHACKI

Powstały z wewnętrznej potrzeby żywszego kontaktu z literaturą, bardziej świadomego jej rozumienia, odczuwania i propagowania, z chęci awansu przynajmniej o jeden szczebel wtajemniczenia w iluzoryczny, a przecież nieodparcie przyciągający świat pisarskiego rzemiosła. Kluby literackie. Przy Zarządzie Głównym — centralnie, przy okręgach — regionalnie.

Do bujnej i różnorodnej działalności nauczycieli w dziedzinach: plastycznej, filmowej, muzycznej, czy estradowej dołączyła nowa muza — literacka. Do klubu może należeć każdy nauczyciel. Nie musi legitymować się żadnym dorobkiem, nie musi zapracowywać na prawo członkostwa. Nie jest to więc

żadne nauczycielskie koło ZLP. Przynależność nie czyni literatem.

Do klubu przychodzi się przede wszystkim po wiedzę humanistyczną, z chęci rozszerzenia horyzontów, po tak zwaną wymianę myśli z kolegami, z próbą własnych dociekań, w chęci konfrontacji, wreszcie dla atmosfery dyskusji i pobudzających sporów. Jakże to ma znaczenie — najlepiej mogą ocenić ci, o których mówi się współcześnie, że są „skazani na prowincję”, jakże jeszcze często na kulturalną i intelektualną.

Klub chce przede wszystkim wykształcić i przygotować działacza kulturalnego, organizatora życia umysłowego i rozrywkowego środowiska. A jeśli jako coś wtórnego, bardzo osobistego

i dyskretnego zrodzi się pomysł twórczy i przyoblecze w literacki kształt — chwała!

Nie czas jeszcze mówić o jakimkolwiek sumowaniu dorobku — bo kluby dopiero raczkują, co najwyżej można podkreślać celowość i słuszność takiego eksperymentu, przy właściwym pojmowaniu jego roli i zadań. A jest w tej mierze wiele nieporozumień, nawet i wśród niektórych nauczycieli kandydatów nie tyle na członków klubu ile na przyszłych twórców, jak na razie, jeszcze bez żadnego dorobku i o problematycznych szansach. Sądzą oni, że klub literacki powinien spełniać rolę czegoś w rodzaju literackiej szkółki i pośrednika w nawiązywaniu pewniejszego kontaktu z ewentualnym wydawcą.

Z pewnością były takie epoki — jak pisze Jan Parandowski w „Alchemii słowa” — kiedy „szło się na poetę”. Tak było w greckich szkołach aoidów, do których wstępowali obiecujący młodzieńcy, aby uczyć się tradycyjnego języka i wiersza, poznawać uświęcone zwroty, porównania, epitety. Albo w średniowiecznej Irlandii, gdzie kandydaci na przyszłych bardów sześć do siedmiu lat uczyli się sztuki poetyckiej lub w szkołach starofrancuskich, gdzie pod różgą doświadczonych mistrzów wiersza, młodzi, którym pachniało wolne życie waganów, uczyli się liczyć zgłoski, przerywać je cezurą, dobierać asonansów, szukać po omacku reguły gramatyki przez nikogo jeszcze nie spisanych, poznawać

bohaterów wiekami rosnącej epopei. Lecz poza odległą historią nigdy nie było właściwie szkoły pisarskiej.

Pisarze zawsze wychowywali się sami. Nie było u nich nawet tego, co w średniowiecznym lub renesansowym malarstwie gdzie uczeń pracował pod okiem mistrza, czyścił pędzle, przygotowywał deskę lub płótno. Dawano mu do wykonania tylko drobne ornamenty, póki nie dorósł do ważniejszych tematów. Podglądał przez dziurkę od klucza, o ile jej mistrz nie zatkał, gdy zabierał się do wielkiej tajemnicy mieszania farb.

„Sklepy cynamonowe” Bruno Schulza — to urywki fantastycznej autobiografii, którą pod

(Dokończenie na str. 5)



FESTYN W ROGALINIE

Zarząd Oddziału Powiatowego ZNP, Wydział Oświaty oraz Powiatowy Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki zorganizowały w pięknej miejscowości Wielkopolski, w Rogalinie, festyn sportowy, który szumnie nazwano „juwenaliami nauczycielskimi”. Tutaj — w otwartej walce — odbywały się zmagania nauczycieli-sportowców o tytuł najlepszych w powiecie.

Komitet organizacyjny powołał następujące komisje: kontrolną, rejestracyjną, gospodarczą i sędziowską. Dojazd uczestników na miejsce odbywał się sprawnie dzięki samochodom i autobusom, które — na prośbę organizatorów — dostarczyły zakłady powiatu poznańskiego. Instytucje te przekazały również organizatorom prawie 7 tysięcy złotych na nagrody, upominki i słodycze.

Ogółem w festynie wzięło udział 540 uczestników, którzy rozegrali 34 konkurencje sportowe (12 dziecięcych, 6 rodzinnych, 8 zespołowych i 8 indywidualnych).

Na festyn nasz przybyli: kierownik Biura Turystyki i Współpracy Międzynarodowej Zarządu Głównego ZNP — Krzysztof Wasilewski oraz kierownik Wydziału Pracy Społeczno-Oświatowej Zarządu Okręgu w Poznaniu — Krzysztof Mrowiński.

Obojętni młodych nauczycieli stawali do walki starsi, którzy także próbowali swych sił w różnych konkurencjach sportowych. Prawie wszystkie konkurencje cieszyły się dużym zainteresowaniem. Najwięcej zawodników było w takich konkurencjach, jak strzelanie z wiatrówki i łuku oraz biegi i rzuty. Z gier zespołowych, na dobrym poziomie wypadła siatkówka.

Prawdziwy raj miały dzieci, które przyjechały z rodzicami. W wydzielonej i barwnie udekorowanej części boiska sportowego z napisem: „zabawy dla dzieci” odbywały się atrakcyjne imprezy dla maluchów.

Organizatorzy festynu w programie przewidzieli również zwiedzanie muzeum w Rogalinie.

Czas przeznaczony na festyn od godz. 11.00 do 16.00 okazał się zbyt krótki i dlatego też poza programem odbywały się do wieczora gry i zabawy. Wniosek o potrzebie organizowania podobnych imprez dla nauczycieli, którzy rzadko mają okazję do czynnego wypoczynku, nastawa się sam. Według nieoficjalnych danych, na festynie powiat poznański zajął drugie miejsce w województwie poznańskim.

ZYGMUNT KACZMAREK
Lubań k. Poznania

Lektura rocznych sprawozdań z działalności ideowo-pedagogicznej Zarządów Oddziałów Powiatowych ZNP dostarcza dużo materiału do przemyślenia, materiału, zmierzającego do dalszego doskonalenia tej działalności. Wśród wielu zagadnień poruszonych w tegorocznych sprawozdaniach na czoło wysuwa się problem pracy komisji pedagogicznych. W wielu sprawozdaniach sugeruje się konieczność opracowania wytycznych do tej pracy.

Innym zagadnieniem, zmuszającym do zastanowienia się nad koniecznością poprawy pracy komisji pedagogicznych jest fakt, że w Zarządach Oddziałów Powiatowych nie ma Wydziałów Pedagogicznych. Uważam, że właśnie komisje pedagogiczne powinny jak gdyby zastąpić te wydziały.

Nie mniej ważnym problemem z tego zakresu jest fakt wciąż wzrastającej roli i funkcji procesu samokształcenia ideowo-pedagogicznego nauczycieli. Wynika to również z tegorocznych sprawozdań Zarządów Oddziałów. Autorzy sprawozdań podkreślają konieczność intensyfikacji pracy organizacyjno-metodycznej naszego związkowego samokształcenia.

W świetle powyższych wywodów słuszne wydaje się poświęcić nieco uwagi formom i sposobom pracy komisji pedagogicznych. Zanim przejdę do niektórych bardziej szczegółowych spraw, pragnę podkreślić, iż omawiane zagadnienie nie jest nowym w naszym systemie samokształceniowym, że w wielu powiatach komisje pedagogiczne pracują od kilku lat i to pracują z dużym powodzeniem. Są jednak i takie oddziały, przy których komisje albo nigdy nie pracowały, albo z braku konkretnych zadań zaprzestały działania lub — jak to wynika z rozeznania w województwie zielonogórskim — w ogóle nigdy ich nie powoływano. Zapewne składa się na to wiele przyczyn. Niewątpliwie jedną z nich jest brak odpowiednich wytycznych, może nawet czegoś w rodzaju regulaminów, co niewątpliwie pomogłoby w lepszej i skuteczniejszej ich pracy.

Pragnę zasygnalizować niektóre problemy dotyczące pracy komisji pedagogicznych. Używając liczby mnogiej — komisje — czynię to celowo, aby pokreślić, że dotyczy to tak szeroko wojewódzkiego, powiatowego jak i, a może przede wszystkim, ognisk. Oczywiście, różne będą tu zakresy działalności, odmienne formy i metody, ale jednakowe cele i zadania.

Spróbujmy zastanowić się nad tymi właśnie ogólnymi zadaniami, które dotyczyćby komisji wszystkich szczebli. Działalność

ideowo-pedagogiczna Związku, podobnie jak i inne odcinki naszej pracy, jest działalnością społeczną, a więc działalnością organizowaną i kierowaną przez społeczne kolektywy, powoływane i nadzorowane przez zarządy odpowiednich instancji naszego Związku. Powołanie takich komisji wcale nie oznacza umniejszenia roli i odpowiedzialności zarządów poszczególnych ogniw ZNP, lecz przeciwnie, zmierza do poszerzenia aktywu, do bardziej równomiernego rozkładania obowiązków, do bezpośredniego zainteresowania problemem szerszego kręgu członków organizacji.

si powinno być najmniej cztery w roku.

Na pierwszym posiedzeniu, które powinno odbyć się pod koniec sierpnia lub na początku września, należałoby omówić całoroczny plan pracy ideowo-pedagogicznej na swoim terenie. Chodzi w tym przypadku o adaptowanie planów instancji wyższych do własnych potrzeb i możliwości. Na tym samym zebraniu należałoby przedyskutować zakresy omawianych treści, formy i metody ich realizacji. Oczywiście, żeby móc należycie programować pracę pedagogiczną w swoim środowisku należy znać ogólne tendencje rozwojowe oświaty, jak i własne, lokalne potrzeby. Chodzi przede wszystkim o takie ustawienie naszej pracy, aby wychodziła ona naprzeciw społecznemu zapotrzebowaniu nauczycielskiego środowiska.

Drugie zebranie powinno odbyć się po zakończeniu pierwszego okresu samokształcenia (dawniej pierwszych konferencji), a na początku drugiego. Celem tego zebrania będzie omówienie przebiegu pracy samokształceniowej w okresie pierwszym i na tej podstawie wysunięcie wniosków do pracy w okresie drugim. Trzecie zebranie — o podobnej treści, co drugie — organizujemy pomiędzy drugim a trzecim okresem pracy samokształceniowej.

Czwarte i ostatnie zebranie w danym roku szkolnym powinno odbyć się po zakończeniu trzeciego okresu pracy pedagogicznej. Celem tego zebrania będzie podsumowanie całorocznej pracy ideowo-pedagogicznej w danym środowisku.

Oczywiście, sugestie moje nie wyczerpują całej problematyki, która można i należałoby na tych zebraniach omawiać. Chodziło mi tylko o zaswenalizowanie pewnych zagadnień.

Druga podstawowa forma pracy członków komisji jest bezpośredni ich udział w różnych formach pracy samokształceniowej. Trudno jest bowiem zabierać głos w sprawach pracy pedagogicznej, jeżeli nie uczestniczy się w niej bezpośrednio, a tym trudniej jest decydować o jej formach i sposobach. Ta ostatnia forma pracy ma szczególne znaczenie na szczeblu powiatu. Jak dotychczas, jednak nawet tam, gdzie pracowały komisje pedagogiczne, członkowie ich ograniczali się przeważnie do pierwszej formy, a mianowicie do udziału w posiedzeniu komisji. Wyjątek stanowią członkowie komisji, którzy są częstymi gośćmi na naszych konferencjach.

Przedstawione wyżej uwagi o pracy komisji pedagogicznych poszczególnych ogniw ZNP nie wyczerpują zagadnienia. Są one jedynie sygnałem wskazującym na konieczność bliższego zainteresowania się naszym aktywnym pracami tych komisji, ze szczególnym uwzględnieniem komisji przy zarządach oddziałów powiatowych i przy ogniskach.

Celem zaktywizowania i ukierunkowania pracy komisji Wydział Pedagogiczny przy Zarządzie Okręgu w Zielonej Górze postanowił w przyszłym roku szkolnym poświęcić temu problemowi więcej uwagi. Planuje się zwołanie seminarium poświęconego omówieniu form i metod pracy wymienionych komisji. Uważam bowiem, że bez udziału szerokiego, zorganizowanego aktywu trudno będzie doskonalić naszą pracę pedagogiczną.

JAROSŁAW MERENA
Zielona Góra

Komisje pedagogiczne

Następnym zagadnieniem jest skład komisji. Sprawa jest o tyle istotna, że chodzi tu o taki dobór, aby był on reprezentatywny w danym środowisku, kompetentny w danych sprawach, no i operatywny. Chodzi przede wszystkim o takie ustawienie pracy komisji, jej składu osobowego, żeby to był organ w całym tego słowa znaczeniu roboczy. Takie zadania wymagają dobrego przemyślenia składu komisji.

Z drugiej strony, skoro mówimy o pełnej kompetencji, należy z góry założyć, że w skład naszych komisji powinni wejść przedstawiciele komitetów PZPR, wydziałów oświaty, ośrodków metodycznych i zarządów oddziałów oraz przedstawiciele ogniw niższego szczebla.

Ponadto, w zależności od lokalnych potrzeb i możliwości w skład komisji można powoływać przedstawicieli innych organizacji i instytucji, np. TSS, Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli, organizacji młodzieżowych. Oczywiście, inaczej będzie wyglądał skład komisji przy Zarządzie Okręgu, a inaczej przy Zarządzie Ogniska. W każdym jednak przypadku o składzie komisji decydują zarządy odpowiednich szczebli, przed którymi komisje składają sprawozdanie ze swej działalności, jak również przedkładają do zatwierdzenia plany pracy.

Przejdźmy teraz do próby sformułowania odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób, jakimi metodami powinna pracować komisja? I znów trudno dać tu gotową receptę. Niemniej jednak warto jest zastanowić się nad niektórymi podstawowymi formami, bez których trudno jest spodziewać się owocnych prac komisji. Widziałbym dwie zasadnicze formy pracy. Pierwsza, to czynny i aktywny udział w pracach samej komisji. Posiedzeń komi-

DYREKCJA TECHNIKUM EKONOMICZNEGO I ZASADNICZEJ SZKOŁY HANDLOWEJ W KOZIENICACH k/Radomia tel. 41 przyjmie do pracy od 1.IX.1967 r. dwóch nauczycieli z wyższym wykształceniem ekonomicznym do nauczania księgowości, ekonomiki, towaroznawstwa, organizacji i techniki handlu. Szkoła gwarantuje jednoizbowe mieszkanie.

KRONIKARZ

Armeńska Socjalistyczna Republika Radziecka powstała 29 listopada 1920 roku. Położona jest w południowej części Zakaukazja i graniczy: z Turcją, Iranem (granica państwowa ZSRR) oraz z Gruzją i Azerbejdżanem. Terytorium — 29,9 tys. kilometrów kwadratowych, dzieli się na 36 rejonów. Ludność — 2 mln 200 tysięcy mieszkańców.

Armenia zajmuje 0,15 proc. terytorium Kraju Rad, ale jeśli chodzi o liczbę ludności, znajduje się na 13 miejscu. Stolica — Erewan — liczy 700 tysięcy mieszkańców (w 1920 roku — 30 tysięcy mieszkańców).

Z HISTORII

Bogata i stara jest historia Armenii. Przodkowie Ormian już trzydzieści, a nawet czterdzieści wieków temu kopali cyklopowe kanały, lecz zraszały one ziemie urartyjskich królów. A kiedy urartyjscy królowie uciekali przed groźnymi wojskami Asyrii, włościanie i rzemieślnicy

stytuowaniu władzy radzieckiej w Armenii.

PRZEMYSŁ

Armenia od wieków prowadziła ożywioną wymianę handlową z sąsiednimi krajami. Przez nią przechodziły handlowe szlaki do Iranu, Turcji, Syrii, Indii, a także do Gruzji, Azerbejdżanu i na Północny Kaukaz. Głównymi towarami była bawełna, jedwab i różnorakie produkty żywnościowe. Przez długie lata Armenia pozostawała dostawcą li tylko materiałów surowcowych.

W pierwszych latach władzy radzieckiej naród ormiański rozpoczął odbudowę gospodarki narodowej i przystąpił do tworzenia własnego przemysłu. Armenia stała się republiką różnorodnego, nowoczesnego przemysłu, rozwiniętej zmechanizowanej gospodarki rolnej (ponad dwadzieścia latuchów górskich ciągnie się przez Armenię, w przybliżeniu dwie trzecie obecnego terytorium zajmują góry — lita skała), i współczesnej nauki.

głowie jednego mieszkańca przypada 1360 kilowatogodzin energii elektrycznej.

Wśród głównych 150 wyrobów produkowanych w Armenii są: maszyny elektryczne, przybory elektronowe, różnego rodzaju pompy, produkty chemiczne. 73 produkty eksportuje się za granicę.

Towary z marką Armenii dobrze są znane dzisiaj nie tylko w krajach demokracji ludowej, Bliskiego i Środkowego Wschodu, ale i w wysoko rozwiniętych krajach kapitalistycznych, jak Anglia, Francja, Belgia, Holandia, NRF, Włochy, Szwecja.

Eksport zwiększa się z każdym rokiem. W roku 1957 produkty republiki eksportowano do 20 krajów, w roku 1965 już do 70 krajów. Dziś w produkcji eksportowej uczestniczą nie tylko zakłady stołeczne Erewania. Na rynek międzynarodowy wkroczyły młode miasta — Lenakan, Kirowakan, Razdan, Idżewan, Eczmiadzin, Nojemberjan, Szamszadin, Oktomberjan, Spitak i inne.

Rosnie sprzedaż starych, tradycyjnie eksportowanych towarów: koniaki, wina, konserwy owocowe, które już dawno znane są na całym świecie.

Nieprzypadkowo rolnicy nazywają Armenię „karastanem” — krainą kamieni. Chociaż kamienie, które przyniosły dotychczas narodowi tylko gorzkie i cierpienia — dziś stają się symbolem bogactwa. Trzeba tu wymienić różowy tuf, wspaniałe marmury, perlit i bazalt, z którego Armenia wyrabia dziś rury plastikowe.

Podstawowym i jedynym surowcem dla Razdańskiego Kombinatów Górniczo-Chemicznego jest właśnie nefelinowy sienit. Uczni udowodnili, że z tego kamienia można uzyskiwać koncentrat glinu — surowiec do produkcji aluminium, „erewanit” — produkt, dotąd nieznany nauce, który wykorzystywany będzie w produkcji kryształu, szkła optycznego.

ROLNICTWO

Cechą charakterystyczną armejskiej wsi jest mały areal ziemi. Kamieniem węgielnym polityki na wsi armejskiej jest, jak zawsze, zadanie Lenina dane komunistom Kaukazu: „Nawadnianie potrzebne jest przede wszystkim i ono właśnie przeobrazi kraj, odrodzi go, pogrzebie stare...”

W latach władzy radzieckiej areal ziem uprawnych zwiększył się trzykrotnie i wynosi dziś 270 tysięcy hektarów. W porównaniu z rokiem 1913 obszar upraw winogronowych zwiększył się 4 razy, sadow — 8 razy. Armenia produkuje rocznie 14 tysięcy ton tytoniu.

Trwają dalsze prace irygacyjne, prace związane z odzyskaniem zasolonych ziem, mechanizacją rolnictwa w górach, maszynowym oczyszczaniem pól uprawnych z kamieni.



W Armenii jest 527 kolchozów, 219 sowchozów. Posiadają one 13 tysięcy traktorów i 1520 kombajnów. Na polach Armenii pracuje 122 tysięcy osób, z tego 15 tysięcy mechanizatorów rolnictwa.

AUKA

Naród armejski w czasie swej wielowiekowej historii dał światu wielu znakomitych uczonych. W historii światowej kultury złotymi zgłoskami zapisane są imiona Mesropa Masztoca, który w końcu IV lub na początku V wieku stworzył alfabet armejski, Mowsesa Chorenaci — wybitnego historyka V w., Anna-nia, Szirakaci — wielkiego matematyka VII w., twórcy „Kosmografii”, „Teorii Kalendarza”, „Arytmetyki”. Tablice arytmetyczne Szirakaci uważane są za jedne z najstarszych w światowej literaturze matematycznej. Ten to uczonec w połowie VII wieku stworzył tezę o kulistości ziemi starał się objaśnić przyczyny ruchu planet i powody zaćmienia słońca. Wiele armejskich nazwisk zapisanych jest w historii matematyki, medycyny, historii, geografii.

W Armenii do roku 1920 nie było ani jednej wyższej uczelni czy zakładu naukowego. Dziś jest ich ponad 100.

Pierwszy uniwersytet powstał w Erewaniu w roku 1920, zaraz po ustanowieniu władzy radzieckiej. Przeszło połowa dzisiejszych wykładowców wyższych uczelni, to absolwenci tego uniwersytetu. Dziś na 70 katedrach uniwersytetu pracuje ponad 600 uczonych. Jedną trzecią kadry naukowej stanowią kobiety.

Na każde 10 tysięcy mieszkańców przypada w Armenii 177 studentów. Dla porównania: w Japonii — 79, we Francji — 61 w Anglii — 50, we Włoszech — 45, w NRF — 44, w Turcji — 24, w Iranie — 11.

Wyższe uczelnie Armenii przygotowują specjalistów przeszło 100 zawodów, wśród nich są lekarze, filozofowie, astronomowie, radiotechnicy i wielu innych przedstawicieli nowych nauk.

Przy ulicy Barekamutjan — czyli Przyjaźni — w Erewaniu mieści się Prezydium Armejskiej Akademii Nauk. Obok — wznoszą się potężne kompleksy nowoczesnych budynków, w których mieszczą się naukowe instytuty Akademii. W pobliżu budoje się nowe gmachy dla 29 instytutów naukowych.

Aragac — Góra Uczonych. Jest w Armenii taka góra, ogromna, szczytem wspierająca się w niebo. Dawniej na jej zboczach budowano zamki, twierdze i klasztory. Dziś jest we władaniu uczonych. Znajduje się tu bowiem stacja hydrometeorologiczna, nieopodal baza fizyków, botaników, biofizyków, energetyków. Na wysokości 1700 metrów jest jeszcze jedno miasteczko uczonych. Tu gospodarzą astrofizycy, bo tu właśnie mieści się Biurakańskie Obserwatorium Astrofizyczne Akademii Nauk Armenii, tu pracuje słynny akademik Wiktor Ambarcumian.

Biurakan znany jest dziś na całym świecie. W ostatnim czasie naukowcy Biurakanu zajmowali się pod kierownictwem Ambarcumiana głównie kosmicznymi obiektami wewnątrz galaktyk. Już dawno astronomowie armejscy zauważyli, że w jądrach galaktyk zachodzą burzliwe wybuchy. W maju 1966 roku, z inicjatywy Międzynarodowego Związku Astronomicznego, odbyło się w Biurakanie sympozjum naukowe, na którym astronomowie z 14 krajów, w tym z USA, Anglii, Francji, Japonii, Włoch, potwierdzili odkrycie swych armejskich kolegów.

W Leningradzie przygotowuje się obecnie gigantyczny nowy teleskop dla Biurakanu. Będzie to jeden z „najdalej widzących” teleskopów w świecie. Pomoże on naukowcom łowić świetlną energię gwiazd oddalonych od nas o setki milionów lat świetlnych. Obserwatorium w Biurakanie utrzymuje kontakty naukowe z 329 ośrodkami na świecie.

W Armenii na każde 10 tysięcy osób przypada 35 pracowników naukowych. W ośrodkach badawczych i wyższych uczelniach pracuje 2300 pracowników naukowych.

Opracowano na podstawie artykułów opublikowanych w specjalnym numerze „PRZYJAZNI” (nr 938 z 22 stycznia 1967 roku), poświęconym Armejskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej.



ARMENIA

ormiańscy własną krwią obronili tę ziemię, która do nich nie należała.

Najdawniejszą znaną nam wzmiankę nazwy „Armen” znaleziono w napisie króla perskiego Dariusza I wyrzniętym na skale w Behistun z roku około 521 przed naszą erą. Narodowość ormiańska jest wynikiem połączenia się rozmaitych grup etnicznych na tym samym terytorium, na którym Ormianie mieszkają obecnie.

Do II wieku przed naszą erą Armenia była wasalem państwa Seleucydów. W roku 190 przed naszą erą Rzymianie zadali ciężką klęskę Antiochowi III z dynastii Seleucydów. Spowodowało to natychmiastowy wybuch powstania w Armenii, wskutek czego Wielka Armenia usamodzielniała się. Artasz I został ogłoszony królem Armenii.

Wyższy stopień rozkwitu osiągnęło dawne królestwo Armenii za panowania wnuka Artaszesa I, Tigranesa II (95—56), który usiłował w swym państwie zaszczyć kulturę grecką. Wybitne osiągnięcia polityczne Tigranesa wywołały w Rzymie wielkie zaniepokojenie i Rzymianie wtargnęli do Armenii. Tigranes, straciwszy wiarę w możliwość powodzenia, uznał siebie za „przyjaciela i sojusznika” Rzymu. Rozpoczęło się panowanie Rzymu w krajach zakaukaskich.

Mijały wieki, a z nimi coraz nowi zaborcy gnębili Ormian — Turcy seldżuczcy, Arabowie, Mongolowie, Persowie.

Mimo ciężkiego położenia spowodowanego uciskiem zaborców, naród ormiański potrafił stworzyć wysoką kulturę. W końcu IV albo na początku V wieku mnich Masztoc (Mesrop) stworzył alfabet ormiański, co miało ogromne znaczenie w rozwoju piśmiennictwa ormiańskiego. W V i VI wieku przetłumaczono na język ormiański wiele dzieł greckich, które wywarły wielki wpływ na oryginalną literaturę ormiańską.

W wiekach IV—VI architektura ormiańska znajdowała się pod wpływem budownictwa irańskiego i syryjskiego: od VII wieku wzmogły się wpływy bizantyjskie. Ze swej strony sztuka ormiańska wywarła duży wpływ na sztukę ludów Azji Przedniej.

Ziemią ormiańską raz po raz wstrząsały powstania, bunt i starcia zbrojne z zaborcami, dopóki nie przybyły na pomoc rosyjskie armaty. W 1828 roku wschodnia część Armenii wyzwoliła się spod jarzma perskiego.

Przyłączenie Armenii do Rosji nie tylko ocaliło Ormian od biologicznego wyniszczenia, ale i zbliżyło do narodu rosyjskiego.

Wiosną 1915 roku przywódcy młodoturków, rządzącej partii ówczesnej Turcji, zaplanowali i zrealizowali masowe przesiedlenie i eksterminację Ormian.

I oto niebawem z „unicestwionej” ojczyzny, „unicestwionego narodu” rozbrzmiały na cały świat wiersze Egisze Czarenca i melodie Arama Chaczaturiana.

Naród o trzydziestowiekowej historii otrzymał możliwość budowania własnego domu dopiero w roku 1920, po ukon-



Sytuacja właściwie bez wyjścia. Po prostu nie ma człowieka, który by zgodził się zakomunikować dwadzieścioru dzieciom wracającym z kolonii, że nie mają już ani ojca, ani matki, ani rodzinnego domu. Nie jestem w stanie o tym pisać „od siebie”, brak mi słów. Mogę tylko przedstawić fragmenty pism, wypowiedzi, artykułów, listów. Pozwola one poznać fakty; obawiam się jednak, że i tak nie umożliwią ZROZUMIENIA decyzji.

sprawy, które niepokoją

„Kuratorium Okręgu Szkolnego Szczecińskiego w dniu 26 maja 1967 roku (Dzień Matki) przysłało nam wyrok skazujący na unicestwienie nasz „Dom rodzinny” w którym przez 9 lat zastępowaliśmy — w miarę naszych sił i możliwości — matkę i oica gromadce sierot. Wyroku nie podpisaliśmy, ponieważ został wydany zaocznie, bez przedstawienia nam zarzutów i bez danej możliwości obrony.

Uważamy, że potraktowano nas gorzej niż przestępców, bo każdy z nich, nawet najgorszy, ma prawo:

- zapoznać się z aktem oskarżenia;
- przygotować się do obrony;
- przeprowadzić obronę osobiście lub nawet przez biegłego pełnomocnika;
- otrzymać wyrok po udowodnieniu winy;
- po wyroku zwrócić się o ułaskawienie lub złagodzenie kary.

Nam niczego z tego nie udostępniono. Domagamy się więc przynajmniej takich praw, jakie przysługują przestępcom. A jeżeli dane nam będzie „prawo jasności”, prosimy jedynie, aby pozwolono nam spokojnie pracować i dalej wychowywać dzieci, które nie są już sierotami, bo uznajemy je za swoje i nie możemy sobie wyobrazić powtórzonego ich osierocenia.”

Weronika i Grzegorz Dowłasowie
(z pisma Dowłasów do władz oświatowych)

„Powołana przez Prezydium WRN komisja badała sprawę na miejscu. (...) Kierownictwo sąsiedniego Domu Dziecka browadzi kśacieństwo, więc kontakt z ob. Dowłasem są konieczne. Ob. Dowłas unika tych kontaktów, tłumacząc, że nie może pozostać dom bez opieki. W związku z tym brak jest wielu rozliczeń, są przekroczenia budżetu itp. Dom cały rok robi nieprzyjemne wrażenie. Podczas dwukrotnych wizyt komisji wszędzie było brudno.

W dokumentach nie można było znaleźć ani jednej komplet-

nej teczeki dziecka. Komisja złożyła kilka propozycji. Między innymi była zdania, aby wiałość oświatową zmienić z ob. Dowłasem umowę, z której jasno wynikałyby prawa i obowiązki.

(Informacja o rodzinie Dowłasów, sporządzona przez członka wyżej wymienionej komisji i przesłana mi na moją prośbę)

„Brak rozliczeń finansowych. Nie jest to możliwe, bowiem system finansowania Domów Rodzinnych wyklucza taką możliwość: operujemy jedynie sumą 5 tysięcy złotych, a wszelkie wydatki zwracane są nam z dołu, po przedstawieniu dowodów i uznaniu ich przez księgowość.

Brudno? To pewnie chodziło o te koty. Rzeczywiście nie zachowywały się przyzwoicie, pozostawiając po nocy widomy znak. Komisja przyszła rano, nie zdążyłem sprzątnąć, bo paliłem w kotłowni. No i nie miałem wizytowego ubrania. Myślę, że żaden ojciec przy takiej pracy nie wygląda elegancko.

Teczki dziecka? Może i nie są kompletne — według komisji — ale w umowie nie ma sprzecznych zasad. Nie prowadzę biura.”

(Z wypowiedzi Grzegorza Dowłasza)

„Komisja była u nas kilka godzin i sprawami wychowawczymi szczególnie się nie interesowała. Interesowali się nimi natomiast dziennikarze, którzy przez te 9 lat przyjeżdżali do nas niespodziewanie o różnych porach naszej pracy.”

(Z wypowiedzi Weroniki Dowłasowej)

„Sa już znani w całym kraju. Zajęli jedno z pierwszych miejsc w telewizyjnym konkursie „Polak 1963”. Jeszcze do niedawna byli eksperymentem społecznym, który potocznie nazywano Rodziną Dowłasów. (...) Chłopcy i dziewczęta rosła, opuszczają Dom, rozpoczynają samodzielne życie, ale więz z Rodziną pozostaje.”

(„Polityka” z 22 lutego 1964 r.)

ży w pracy i zmniejszy koszty remontu.”

(„Nowa Wieś”)

„Siedząc przy stole, wśród czysto, porządku i różnorodnie ubranych dzieci, podziwiałem dobre manieri, delikatność i grzeczność gromadki, która o-dziedziczyła dom na skraju Bukowej Puszczy. A przecież trzeba zdać sobie sprawę, że wśród siedzących w saloniku młodych ludzi nie brakowało takich, którzy przed kilku laty rozbijali kłoski, kradli, awanturowali się, pili wódkę, używali ordynarnych słów.”

(„Wiadomości Zachodnie” z 14 października 1961 roku)

„Największą jest uciecha, gdy przyjeżdżają „wasaki” — mówi tata Dowłas. Jacy schludni, grzeczni, wyrobieni! A początkowo?...”

(„Zielony Sztafard”)

„Dowłasowie przyjęli na swe barki wielką odpowiedzialność. Fiaszko organizacyjne takiego eksperymentu nie byłoby niebezpieczeństwem. Ale chodziło o dzieci. O pozabawione dzieciństwa sieroty lub dzieci „niepotrzebne”, które mogłyby zostać skrzywdzone — nawet zupełnie nieświadomie — po raz drugi.

Gdyby po raz drugi straciły dom. Chodziło o moralne ryzyko. A na dzieciach eksperymentować nie wolno.”

(„Bądźmy mieli dużo dzieci” — Wojciech Kozłowiec)

„U Dowłasów wszystko, całe ich życie i postępowanie obraca

się wokół spraw dzieci. Żyją nimi, pracują dla nich, a na pytanie: jak długo chcą prowadzić założoną rodzinę — odpowiadają z uśmiechem: „Och, nasz plan jest długofalowy... Czyż w ogóle można rozwiązać rodzinę?”

Dzieci to widzą i cenią. Widać jeszcze co innego: to musi być prawdziwa rodzina. Skoro pokoił tatusia i mamusi jest tak samo urządzony i wyposażony, jak ich własne pokoje. Czyli: czystutko, ale skromnie.”

(„Fakty i Myśli” z 1—15 grudnia 1961 roku)

„Nabrałem niezłomnego przekonania, że Grzegorz doprowadzi do zwycięskiego końca także swój zasadniczy eksperyment

MARIA ŁOPATKOWA

KTO

wychowawcy. Że dom przy ulicy Matcznej stanie się naprawdę domem rodzinnym.

Okładam tę surową, chropowatą książkę z uczuciem głębokiej wdzięczności dla autora. Obyśmy mieli jak najwięcej takich wychowawców!”

(„Postowie” Mariana Brandysa w książce Grzegorza Dowłasza — „Legenda domu przy ulicy Matcznej”)



O decyzji rozwiązania Domu Rodzinnego Dowłasów dzieci jeszcze nie wiedzą.

Z okazji wakacyjnych, świątecznych czy wojskowych rozstań pisały i piszą tak: „Kochana Mamusiu! Przyjechalim już na kolonie. Wróciłim się ze spaceru. Wróciłim zmięci. Jesteśmy grzeczni. Pod wieczór ubralim się dresy.”

Muska (Pisała Muska do całego domu) „Kochana Mamusiu! Jest mi tu dobrze, chodzę z panią nad morze” — kończy list Pimpus.

„Kochana Mamusiu! Jak my autobusem jechali, to Aniela nie słuchała mnie się. Zamiast sie-

na głowie. Wiem, że i Tatuś ma dużo kłopotów na głowie, ale jako mężczyzna nie będzie takich drobności brał na poważnie — dlatego napisałem. Zresztą, jak dostanę urlop, to się na pewno zmienię.”

Stach „Kochana Mamusiu! Nie wiem, co u domu stychać i jak spędzicie Nowy Rok. Ja natomiast witalem 1967 rok na warcie. Przyszło mi było i byłem wtedy z myślami w domu. Pozdrawiam i czekam na odpis.”

Syn Tadeusz „Kochana Mamusiu! Piszę, nie mając odpowiedzi od Mamusi, gdyż mi tęskno za domem. W

POWIE DZIECIOM?

dzień w autobusie, no to wzięła nogami na fotel, czy na krzesło; bo ja nie wiem, jak to się nazywało w autobusie. Pa, pa, ciatusów 122.”

Tomek „Kochana Mamusiu i Tatusiu! Muszka jest grzeczna. Nasza pani jest dobra. Czuję serdecznie”

Kola „Kochana Mamusiu! Kiedy do nas przyjeżdżasz? Bardzo tęsknię do domu, na ogród.

Mile i serdecznie czuję Mamusię, Tatusia, Grzegorza, Basię, dziadziusia”. Czuję

Irka „Kochana Mamusiu. Na kolonii jest niedobrze, bo i jedzenie nie takie jak w domu i do morza daleko.

Czuję Mamusię z całych sił”. Wiesia „Kochana Mamu! Kto się o nas troszczy i najczulej patrzy na nas? Kto od złych przgydów strzeże? Nasza Kochana Mama. Jak Ci się odwdzięczymy za wszystko, Droga Mamu? Bądźmy się starali Ciebie kochać tak samo.”

Dorołka (na Dzień Matki) „Kochany Tatusiu! W pierwszych słowach mego listu dziecku za list oraz przysłane mi pieniądze, które naprawdę przydadzą się w lipcu, gdy szef powróci z urlopu. (...) Rady i nauka Tatusia — jak mam postępować — nie poszły w las.

Tatusiu, proszę pisać, czekam.” Stach „Kochany Tatusiu! Proszę nie mówić o tym Mamusi, że ja tam nie mam apetytu, czy coś podobnego, bo Mamusia, jak to Mamusia, zaraz gotowa się martwić, o to tego bym nie chciał. Ona i tak ma dużo zmarliwie

tamtym tygodniu był u mnie Tatusi. Jestem z tego bardzo zadowolony i dumny. Dlatego, że przybycie Tatusia do mojego uspario mnie i rozczuliło duchowo, po prostu jakby został przełamany kryzys załamania, który powoli mnie osaczał. Nie zdałem ogólniaka, muszę teraz dużo pracować, żeby naprawić most, po którym szłem.

Pa, pa Mamusiu!”

Stach „Kochana Mamusiu! Dopiero tydzień, jak Mamusia wyjechała, a mnie się już wydaje, jakby Mamusi od dawna nie było. W tej chwili jest godzina 21.35, więc wypada mi powiedzieć Mamusi dobranoc, no i oczywiście czuję Mamusię mocno, tak jak zawsze w domu. Dobrej nocy, Mamusiu!

Powracaj nam Mamusiu zdrowia i wypoczęcia i nie obcinaj, Mamu, włosów.

Cena dzieciętnastka Mamusię mocno ścisła i czuję i równie żyć Mamusi spokojnego wypoczynku.”

Hanica A to już nie list dzieci, a list mamy Dowłas, pisany do mnie, 24 czerwca 1967 roku.

„Niestety, rozwijające Legendy jest już definitywne. Gdyby chodziło wyłącznie o nas, machnelibymy ręką, ale naprawdę szkoda tych biednych dzieci. Ot, chociażby teraz, Edek przyjechał z wojska na 17 dni urlopu. Fratek marynarz ma 10 dni wolnego, Tadek będący również w wojsku ma przyjechać w sierpniu na urlop, a gdzie oni potem pojedają? Kto ich będzie czekał? Kto im powie o tym, że ich dom nie jest już ich domem? Strach pomyśleć.”

Weronika

NAJLEPIEJ OCENIAJĄ »SKAZANI NA PROWINCJĘ«

(Dokończenie ze str. 1)

koniec lat dwudziestych spisywał w swojej prowincjonalnej samotni na wyłączny użytek paru przyjaciół nauczyciel rysunków w drohobyckim gimnazjum. Spisane przeleżały parę lat w szufladzie, gdzie zatrzymała je nieśmiałość autora. Dopiero przypadek podsunął je Zofii Naikowskiej, która oślniona piarską śmiałością nieśmiałego człowieka, spowodowała ich wydanie. Niewiele w literaturze mamy takich ośnień zrodzonych w ciszy i z przypadku odkrytych.

Muza literacka jest krnąbrna. Przedmiot marzeń i źródło zawodów. Tajemnicza i drwiąca. Podsmawia się pod nią często grafomanie i falsyfikaty. Rzadko, bardzo rzadko Bywa zdobyta.

Z tymi i wieloma innymi wątpliwościami jechałem do Gdyni na dwutygodniowy kurs literacki. Pierwszego w działalności Związku tego rodzaju przedsięwzięcie. Ciekawy byłam program kursu, ewentualnych prelegentów, słuchaczy, ich wypo-wiedzi, sądów — no i sakramentalnej w takich przypadkach odpowiedzi na pytanie: czego się spodziewają po kursie, co im ten kurs daje?

Nazwa „kurs literacki” dla działaczy okręgowych klubów sugerowała tematykę organizatorską profilującą pracę w zespołach, no i w swojej części najistotniejszej — możliwie szerszej pojętą tematyką z zakresu kultury współczesnej i wiedzy o warsztacie literackim.

Tak też i było. Program kursu przewidywał między innymi wykłady:

- zadania, formy i metody pracy klubów literackich ZNP;
- organizacja i metody badań, potrzeb i zainteresowań czytelników nauczycieli;
- charakter współczesnej literatury dziecięcej;
- współczesna publicystyka — tendencje jej rozwoju;
- problemy współczesnego teatru;
- współczesny film polski;
- nauczyciel a sztuka;
- główne kierunki i tendencje w sztukach plastycznych;
- współczesny warsztat literacki.

Wśród wykładowców: prof. Bogdan Suchodolski, prof. Władysław Tatarkiewicz, doc. Irena Wojnar i pisarze.

Nie wiem, czy wszystkie kursy zaplanowane zostało, zrealizowano — byłam na kursie zbyt krótko (może o tym napiszą sami kursanci). Wiele jednak rozmawiałem, brałem udział w dyskusjach, nawet w zakamuflo-

wanym — jedynie w gronie kilku osób — wieczorku autorskim. Zespół słuchaczy był bowiem bardzo różny. Inne użycy-cy z racji wieku, doświadczenia, dorobku twórczego (bo byli i ci), czy zainteresowań, znajdował wspólny język.

Podstawowa część — to aktualni lub przyszli działacze kulturalno-oświatowi, bibliotekarze, organizatorzy dyskusji nad książką, kierownicy literackich kółek zainteresowań. Pilni, zdyscyplinowani, choć słońce i morze stanowiły silną konkurencję nawet dla najatrakcyjniejszych wykładów czy spotkań. Część kursantów nie wytrzymała — opalone twarze i puste miejsca na prelekcjach świadczyły, że bliższe im były rozkosze morskich kąpiel, niż „pluralizm od-działywań wychowawczych teatru”.

Jest to jednak sprawa właściwej rekrutacji zawsze pozostawiającej wiele do życzenia. Pierwszego dnia pobytu podszedł do mnie starszy kolega i zaprosił na autorskie spotkanie. Wahalem się nieco, bo twórca który chciał czytać swoje utwo-ry jak dotychczas jeszcze nie drukował, ale ambicje miał za to duże. Obawiałem się ponadto, że będę musiał wyrażać swoje opinie... Zgodziłem się jednak. Zresztą wielu było pisarzy, którzy zaczęli bardzo późno. Może to będzie napraw-dę interesujące. Niestety, mimo całej sympatii dla ciekawego w gruncie rzeczy człowieka, utwo-ry były słabe. Dźwięczały w nich nuty niezdarnie naśladowane Mickiewicza, Słowackiego, Konopnicką, Wincentego Pola...

Każdy pisarz przecież wie-tryz łamus zwiędłych orna-mentów. Kraża one nieustannie wokół każdego zdania, czekają na chwilę niewagi lub znudze-nia, aby się nawinąć pod pióró. Język potoczny jest wielkim zlenikiem metafor, które nie-gdyś miały swoją własną wio-snę, a dziś albo nie można ich odróżnić od pospolitych zwro-tów, albo straszą swym próc-nem. Trzeba talentu. Samo pi-sanie nie jest czymś oczywiście złym, może być nawet — formą sublimowania siebie, wzboga-żając wywnętrzenie. Dopóki, oczywiście, nie zażąda się sa-tysfakcji i honoru od innych. Wiedzy trzeba mieć już coś do powiedzenia...

W bardzo żywnych okrę-gach: szczecińskim, katowickim, czy poznańskim — działa wielu pisarzy — nauczycieli, członków klubu Literackiego, (Niektórzy z nich byli na kursie). Mają spory dorobek. Adolf Momot — au-tor wielu pozycji książkowych,

laureat konkursu „TygodniKa Kulturalnego” Stanisław Rze-szewski napisał powieść histo-ryczną dla młodzieży, a w wy-dawnym przez okręg kwartal-niku społeczno-oświatowym dru-kuje legendy pomorskie. Edu-mund Rosner, zajmujący się opracowaniami regionalnymi z okolic Cieszyńska i krytyką lite-racką.

Do literatury trafić można różnymi drogami. I to jest sprawa bardzo indywidualna.

— Mnie, zaley przede wszyst-kim, aby możliwie najwięcej się nauczyć, usłyszeć — powiedzia-ła nauczycielka z Białostocczyz-ny. Wiem znacznie więcej te-raz, jak walczyć z językowym niechlujstwem młodzieży. Każ-da epoka dorzuca do języka garść nowych, zmiennych przenosi. Biurokracja jest w tym szczególnie płodna. Dzięki niej nawet „punkt” niewymier-na częstotliwość przestrzeni stał się zaborecz. Nie można pozbyć się „frontu”, odcinka”, „placów-ki”, a „platforma”, „blaszczyzna”, „czynnik”, „motor”, „ele-ment”, „blok”, „domena”, „te-ren” zbyt często nadużywane, obierają z myśli każde zdanie, jeśli tam istniała.

— Nie mam talentu pisar-skiego, ale kocham język. Ten kurs pogłębił moje zaintereso-wania. Stane się chyba zbiera-czem wszelkich słowników — mówiła ze śmiechem.

— Mnie interesuje estrada — wtrącił mój współlokator kur-sowy. Czekam z niecierpliwośc-ią na prelekcje pani Wojnaro-wej. Wiem, że moje przygoto-wanie ma wiele luk, tyleż samo odczuwam wątpliwość. Uczę się, czytam. Szukam odpowie-di na wiele dręczących mnie kwestii...

Właśnie. Wiele dręczących kwestii — czyli przyszłowiowy głód wiedzy. To można uznać za symptomatyczne dla wiek-szości słuchaczy kursu, chociaż w upalne dni wszyscy nie zdradzają zbyt wiele chęci do ruchu, dyskusji, czy namiętnych sporów...

Można jednak powiedzieć, nawet na podstawie fragmenta-rycznych przecież rozmów i ob-serwacji, że eksperymetn lite-racki Związku i pierwszy jego kurs przez swoją interesującą treść, stał się okazją do ujawnienia wszechstronnych zainte-riowań nauczycieli i stwierdzenia, jak wiele można z kur-su skorzystać, chociaż klarow-ność obrazu macą morskopla-żowi wagarowicze i absencja niektórych wykładowców.

TADEUSZ SOCHACKI

Z PROBLEMÓW POLITYKI OŚWIATOWEJ NRF (2)

W KRZYWYM ZWIERCIADLE

PROF. STANISŁAW OKECKI

stnienie i działalność lewicowego, rewolucyjnego ruchu oporu — to dość materia w szerokiach warstwach ludności NRF, w tym i młodzieży szkolnej, na dobrą sprawę niemalże nie znana.

Nie powinno to nas dziwić, skoro w NRF od początku jej powstania, zainteresowania historyków ruchem oporu zawężone zostały w sposób jednostronny do badania uwarunkowań natury etnicznej z równoczesnym zupełnym zbagatelizowaniem kategorii wyników, ze względu zaś politycznych punkt ciężkości badań pułkownik został głównie na spryszczenie „20 lipca” oraz częściowo na ruch oporu

kociółków. Doszło do tego, że w NRF i prasie lewicowej komunistyczny i socjalistyczny ruch oporu pozostaje do dziś terenem całkowitego niezbadany. Poza prowadzoną jedynie w „Instytucie do spraw polityki naukowej” w Marburgu („Institut für wissenschaftliche Politik”) pracą badawczą oraz poważniejszymi studiami nad ruchem oporu klasy robotniczej Berlina, ostatnio dopiero uruchomionymi z inicjatywą Komisji Historycznej w Berlinie zachodnim, można wymienić zaledwie kilka prac biograficznych poświęconych socjalizmowi, którzy byli zbliznieni do „Kreissauer Kreiss” i ugrupowań

Becka i Goerdelera, jak np. pracę Waltera Hamme’a o Theodorze Haubachu, Jamesa A. Hendersona — o Adolfe Reichweinie, Joachima G. Zeithäusera — o Wilhelmie Leuchnerze. I to jest prawie wszystko, jeśli chodzi o pracę nad ruchem oporu w NRF (poza „20 lipca” i tzw. kościelnymi ruchami oporu). Pozostali socjaliści, o ile nie zostali „wydobyci”, w związku ze swą przynależnością do „opozycji 20 lipca” lub występowały jako indywidualni spiskowcy, byli zazwyczaj opisywani tylko mimochodem, według zasady: „byli i tacy”.

I to jest, z grubsza, prawie wszystko, jeśli chodzi o prace nad ruchem oporu, które ukazały się w NRF (oczywiście poza „20 lipca” i kościelnymi ruchami oporu). Apeł Guentera Weisenbaha, zasłużonego autora jednej z pierwszych, pionierskich prac o ruchu oporu („Der lautlose Aufstand”), zmierzający do wydobycia „plastycznego obrazu całokształtu (podkr. — S. O.) walki o wolność z zapomnienia” — podjęty został tylko w jednej części Niemiec — w (NRD!). W NRF natomiast pozostał bez echa.

W związku z tym szczególniej wymowy nabiera przytoczony przez dra J. Rossinatta, jednego z czołowych działaczy VVN (Związku Ofiar Faszyzmu) przykład pod-recznika historii wydanego w Brunszwiku przez Wydawnictwo Westermann’a i przeznaczony dla V i VI klasy szkoły powszechnej. Podręcznik ten w pierwszym wydaniu dawał o ruchu oporu 8 stron żywego i sugestywnego tekstu, w wydaniu po 10 latach, ani jednego słowa o tym ruchu, jedynie wzmiankę o rodzeństwie Scholl.

O obózach koncentracyjnych odpowied-

ni: 5 stron i ani jednego słowa, o prze-

śladowaniach Żydów — 3 strony i 14 wierszy. Wyobrzył się za to w NRF w sposób bardzo przesadny trudności pietrożące przed historykami badającymi grupy socjalistyczne i komunistyczne. Że więc były ze względów konspiracyjnych rozpozno-ne w terenie, że prawie zupełnie brak materiału piśmennego z wyjątkiem ulotek i gazetek konspiracyjnych, że uzyskanie od uczestników wydarzeń szczegółowych wspomnień niezbędnych do badań naukowych jest przedsięwzięciem problematycznym i bardzo trudnym, które nie może być nawet porównane ze skuteczną do pewnego czasu akcją zbierania relacji od uczestników spryszczenia „20 lipca”. Wy-szuwa się także słuszny zresztą skądinąd fakt, że zapytywanych (ankietowanych) tylko z trudem można odnaleźć, ponieważ kontakty wykraczające poza miejscowy teren były nawiązywane bardzo ostrożnie.

Po takim nagromadzeniu argumentów mających przedstawiać niewątpliwie istniejące trudności, jakie stoją przed badaczem i przede wszystkim usprawiedliwianie go, dr Günter Plum z Institut für Zeitgeschichte (Monachium) postawił pytanie: czy nie jest już na te prace za późno? Wymienione względy nie mogą jednak usprawiedliwić badaczy historii ruchu oporu w NRF. Nie tylko zaniedbali oni — działając zresztą świadomie — akcję gromadzenia relacji byłych uczestników ruchu oporu socjalistów i komunistów — odróżnieniu od uczestników „Opozycji 20 lipca”, gdzie wyniki podjętych prac były pozytywne, ale co więcej, do dziś nadal odkładają na bok ad acta nie interesującą się, istniejące materiały dokumentalne, wytworzone w organizacjach nacjonalistycznych, gestapo, SD i aparacie

hitlerowskiego wymiaru sprawiedliwości.

Oto jaskrawy przykład: przed kilku laty monachijski Institut für Zeitgeschichte wydał zlecenie opracowania zbioru wybranych dokumentów — sprawozdań gestapo i raportów rządowych przechowywanych w Archiwum w Düsseldorfie. Materiały te po 2 latach ukazały się pod tytułem: „Volksopposition im Polizeistaat 1934—1936”. Zawierały one sprawozdania filii gestapo i Prezydium Rządu w Akwizgranie (Aachen) o sytuacji politycznej i strajkach. We wstępie wydawca napisał: „Opierając się na komunistycznym nacjonalistycznym jest tak znana (czyżby tak było w NRF?) wręcz przeciwnie — przyp. S. O.) że — z wyjątkiem obywateli zamieszanych przykładowo jako typowe — pierwszych sprawozdań i niektórych późniejszych — można było zrezygnować z przedruku pełnej serii (mowa o ustępach dotyczących aktywnej działalności komunistów) zawierającej szczegóły dotyczące komunistycznych intryg (I — przyp. S. O.) i personalii drobnych funkcjonariuszy partyjnych”.

Kto jednak miał okazję przestudiować materiał z Düsseldorfa, łatwo dojdzie do wręcz odwrotnego wniosku.

Niewątpliwie najgorzej w historiografii i podręcznikach szkolnych NRF potraktowany został komunistyczny ruch oporu. Ton nadawał tu przede wszystkim czołowy reprezentant nacjonalistyczno-konserwatywnego kierunku w historiografii NRF Gerhard Ritter, który zdobył się jedynie na słowa pogardy pod adresem członków grupy „Rote Kapelle”, jako „zdradcy i głupcy nie mających wspólnego z niemieckim ruchem oporu”. Historyk monachijski, wzmiankowany już przeze mnie dr Günter Plum, prezentuje

w pseudonaukowym opakowaniu tezę, że komuniści występowali jedynie w obronie wąskich interesów klasowych i szczegółowo — w czasie drugiej wojny światowej — walczyli jako „obroncy obcych interesów państwowych” jako „radziecy obywatele (I — S. O.) w obecj służbie”. Ta absurdalna teza występuje w różnych wariantach w historiografii i podręcznikach NRF.

Inny historyk Hans Rotfels sformułował co prawda tezę o rehabilitacji komunistycznych grup oporu, w tym i „Rote Kapelle”, ale równocześnie nie zrezygnował z oszczerzecowego ustawienia na jednej płaszczyźnie nacjonalizmowi z komunizmem.

Jest jednak rzeczą szczególnie istotną, że ta dwuznaczna, połowiczna, półgębkiem wypowiedziana, „rehabilitacja” nie przekształciła się w impuls badawczy. W wieloletnim tygodniku hamburskim, zbliznym do SPD „Die Welt” Winfried Martini, były członek sztabu Goebbelsa i odpowiedzialny pracownik hitlerowskiej agencji publicystycznej, obsługującej prasę zagraniczną, opublikował w 11 odcinkach pszezwul na lewicowy ruch oporu w III Rzeszy Niemiec antyfaszystów z „Rote Kapelle”, z grupy lebananta Harry Schultze-Boysena, taki bohater niemieckiego ruchu oporu, jak Ilse Stoebe czy Erika von Brockdorff — to wszystko... zdraycy i szpiezy. Na próżno szukalibymy jakiejś spokojniejszej i rzeczowej charakterystyki tych grup, jako części składowej antyhitlerowskiego ruchu oporu. Dla Martiniego wielka godzina „Ab-gabe” o której obwieszcza że nie ukrywamy zadowolonych, nadeszła dopiero wtedy, gdy udało się jej rozbić „Rote Kapelle”, co na szubienicy lub pod gilotyną

przypłacił życiem kilkadziesiąt osób, a także wtedy, gdy zlikwidowano grupę Schultze-Boysena (wnuka admirała Tirpitz).

Są to wszystko wymowne przykłady tego, jakie aktualnie stanowiąca polityczna i moralna współczesność zrutowane są wstecz, jako skala mająca służyć do oceny przeszłości. Takie nastawienia prowadzą do apologii aktualnych poglądów i rozstrzygnięć politycznych zachodnioniemieckiego „establishment”.

Bardzo mało mówi się w podręcznikach o wczesnym okresie ruchu oporu sprzed drugiej wojny światowej. Co najwyżej cytuje się znane przemówienie socjaldemokraty Otto Welsa z okazji uchwalenia ustawy o pełnomocnictwach dla Hitlera. O skutkowność znacznej ilości drobnych grup oporu, które powstały w tym czasie, dowodzone były potem skutecznie likwidowane były przez gestapo, nie dowiadując się przeciwny Niemiec w NRF z reguły weale.

Całkowicie pominięte zostały w podręcznikach owe liczne głosy ostrzegawcze sprzed 1933 roku, a więc z okresu przed-hitlerowskiego, które wychodziły z kół re-wolucyjnych i postępowych. A przecież na ich podstawie można się było wówczas wiele dowiedzieć, do czego zmierzali nacjonalistyci w swoich planach, jaka była w grubszych zarysach istota polityczna, społeczna i moralna hitlerowskiego faszyzmu.

Historycy, politycy i publicyści w NRF uparcie przemilczają i ignorują najwięk-szy historyczny triumf ruchu oporu, polegający oczywiście nie na zwycięstwie tego ruchu nad reżimem hitlerowskim, lecz na tym fakcie, że to właśnie koalicja antyhitlerowska obaliła reżim nazistowski

(Dokończenie na str. 6)

Maszyna, Gródka nad Dunajcem, Sienica — miejscowości położone wśród lasów i sadów malowniczo, gorzyściej Nowosądeckich, jednego z najciekawszych krajobrazowo zakątków kraju. Kto raz zapuścił się w te okolice, ten już na zawsze pozostanie pod ich urokiem.

Zastanawiano się swego czasu w Związku, jak udostępnić nauczycielom z całej Polski poznanie takich właśnie regionów, jak umożliwić im tam pobyt w okresie wakacyjnym, aby mogli w tych atrakcyjnych turystycznie okolicach wypoczywać, nabierać sił do dalszej pracy. Tym bardziej, że miejsce na czasach, zwłaszcza rodzinnych, jest ciągle w stosunku do potrzeb za mało, zaś korzystanie z prywatnych kwater czy nawet schronisk (średnio 20—30 zł od osoby za nocleg) przekracza możliwości przeciętnej rodziny nauczycielskiej.

Postanowiono wówczas wykorzystać na ten cel budynki małych szkół, właśnie takich, jakie znaleźć można w wielu ciekawych zakątkach kraju. I tak, przed pięć laty utworzono pierwsze letniska nauczycielskie. Początkowo, tytułem eksperymentu, w kilku tylko szkołach, właśnie w Nowosądeckich. Przygoto-

wały one i jednocześnie cichych zakątkach: sprzyja to idealnemu wypoczynkowi, zwłaszcza ludzi, którzy na co dzień przebywają w ośrodkach wielkomiejskich. No i jeszcze jedna, niebagatelną zaletą: bardzo przystępna cena. Letniska prowadzone są przez ognia związkowe na zasadzie samowystarczalności. Opłata 4 zł dziennie od łóżka przeznaczona jest głównie na pokrycie kosztów zużytej energii elektrycznej i drobnych wydatków administracyjno-gospodarczych.

Czy zalety te są doceniane? Wydaje się, że tak najbardziej. Kilkakrotnie już w poprzednich latach miały one okazję rozmawiać z nauczycielami korzystającymi z letnisk i zawsze opinie były dosłownie entuzjastyczne. Zresztą charakterystyczne, kto raz był na „letnisku”, ten zabiega o nie także w następnych latach. Obecnie na letniskach często spotyka się tych, którzy już posmakowali tej formy wypoczynku.

I tu paradoks. Mimo tej pozytywnej oceny, mimo dużej, coraz większej liczby zwolenników letnisk — miejsca nie są w pełni wykorzystane.

W ubiegłym roku w lipcu redakcja nawiązała kontakt z 10 kierownikami letnisk. Chcieliśmy zorientować się, jak

wym Sączu, koł. Wł. Ziembę, który akurat obejdał letniska na swoim terenie i zaproponował mi wspólną wyprawę. Trasa wiodła przez cztery miejscowości Nowosądeckich: Gólkowice, Czarny Potok, Zarzecze i Zabrze. Mijałoby się z celem opisywanie piękna tych okolic, ich uroku i walorów turystycznych. Za interesownym znajdzie te informacje w każdym przewodniku. Warto natomiast, sądząc, podzielić się pewnymi uwagami, wyniesionymi tak z własnych obserwacji, jak i z rozmów z czasowiczami oraz kierownikami letnisk.

A zatem sprawa pierwsza, którą można by określić żartobliwie „pochodzenie geograficzne” kolegów korzystających z letnisk. W rubryce „miejsce stałego zamieszkania” figurują w przeważającej większości ośrodki wielkomiejskie: Łódź, Warszawa, Poznań, Toruń, Gdańsk. W czterech placówkach nie spotkałam ani jednej osoby, która pochodziłaby z mniejszego miasta niż siedziba powiatu. I to jest bardzo dobrze. Tak bowiem, jak wczasowe letniska przeznaczone są dla nauczycieli pracujących na wsi, tak letniska pomyślane są dla kolegów z wielkomiejskich środowisk. Im przede wszystkim potrzebny jest dla rekreacji kontakt

— Ucieszyłem się, że jest jeszcze w Polsce jakiś zakątek, gdzie nie ma elektryczności, gdzie nie dotarła technika — odpowiadał żartobliwie inny kolega.

Wszyscy też podkreślali serdecznie, troskliwie stosunek kierowników letnisk do czasowiczów.

— Ci ludzie dają z siebie wszystko, by uczynić nasz pobyt jak najprzyjemniejszy, by stworzyć nam możliwości jak najlepsze warunki, byśmy jak najlepiej wypoczęli.

— Letniska nauczycielskie, to naprawdę dobra robota Związku — powtarzali wszyscy. I chóralny apel: rozszerzajcie tę formę wczasów.

Nieliczne uwagi dotyczyły — jak podkreślali sami użytkownicy — raczej spraw drugorzędnych. Warto by na przykład — mówiono — stopniowo uzupełniać wyposażenie o takie sprzęty, jak szafa, wiśszaki itp.

Czyby więc sielankowy, nierzyniemi znany obraz? Niestety, tak nie jest. I tu dochodzimy do bodaj najistotniejszej sprawy: frekwencji. Pod tym względem przynajmniej na podstawie tych czterech miejscowości — nie można wyciągnąć optymistycznych wniosków. W żadnym z punktów nie wykorzystano w pełni wszystkich miejsc. W Gólkowicach zabrakło 6 osób. W Czarnym Potoku na 20 miejsc (5 sal zajętych było tylko 8 miejsc (2 sale), w Zarzeczu pusto w dwóch pokojach. Zaś w Zarzeczu na 4 klasy, zajęta jest tylko jedna. Obliczmy: w czterech tylko punktach letniskowych stoi pustych 9 pomieszczeń, z których mogłoby skorzystać 9 rodzin, a więc ponad 30 osób. Zmarnowany został wysiłek finansowy i organizacyjny.

Kierownicy letnisk są tym stanem rzeczy rozgorzcyleni. Przecież — mówią — placówki te prowadzone są na zasadzie samowystarczalności. Ich budżet kalkulowany jest z uwzględnieniem liczby wszystkich łóżek przy założeniu pełnego ich wykorzystania. Tymczasem często rodzina składa się z trzech, a nie czterech osób. Wówczas jedno łóżko jest nie wykorzystane. A gdy jeszcze do tego choć stoł pustych, to cały budżet okazuje się właściwie fikcją, zaś prowadzący te placówki ludzie, którzy wkładają w to pracę naprawdę dużo serca, mają ambicję, by z tym roku coś ulepszyć, wzbogacić o jakieś drobniaki. Cóż, kiedy budżet nie pozwala.

Kierownicy letnisk czują się trochę rozgorzcyleni także i z innego powodu. Co roku otrzymują od nauczycieli, ubiegłorocznych czasowiczów, listy z prośbą o przyjęcie na letnisko. Muszą odmawiać, gdyż miejscami dysponuje organizacja związkowa. A potem okazuje się, że sale są nie wykorzystane.

A więc z jednej strony apel o rozszerzenie tej formy wczasów, z drugiej — nie wykorzystane miejsca. Tak jak w poprzednich latach. Jak to się dzieje?

Zgodnie z instrukcją Zarządu Głównego ZNP skierowania na letniska miały być przydzielane poszczególnym okręgom na podstawie zgłoszonych do dnia 1 czerwca, zapotrzebowań. Dyskusyjny, notabene, wydaje się ten termin, gdyż daje on mało szans na ewentualne wykorzystanie tak zwanych zwrotów. Ale chyba nie tu tkwi przyczyna nie wykorzystania miejsc. Bo oto okazuje się, że Zarząd Główny nie czekał na ten termin, przekażając Zarządom Okręgowym skierowania już w początkach maja. Niestety, niektóre okręgi nadesłały zwroty dopiero w ostatnich dniach czerwca,

kiedy już — praktycznie nie było możliwości przekazania ich gdzie indziej. Na suwa się zresztą pytanie, dlaczego te zwroty, skoro letniska cieszą się takim powodzeniem?

Jest to tym bardziej zastanawiające, że mimo wszystko letnisk nie jest jeszcze zbyt dużo i liczba skierowań przydzielanych poszczególnym okręgom przedstawia się nader skromnie: od jednego, dwóch do maksimum czternastu ra jeden turnus.

Wczasowicze, z którymi rozmawiałam, zadawali również to samo pytanie. Niektórzy starali się jednocześnie znaleźć odpowiedź: — Chyba ognia związkowe zbyt mało popularyzują tę formę wczasów.

— Odnosi się wrażenie, iż ognia chcą przede wszystkim rozdzielić wczas FWP, potem związkowe, a dopiero na szarym końcu „ujawniają” skierowania na letniska.

— Czy nie słusznie byłoby jeszcze wcześniej rozpoczynać te akcje każdego roku? Szerzej popularyzować te możliwości spędzenia urlopu. Zbierać już wiosną zapotrzebowania. Zaś kandydatów zobowiązać do powiadomienia kierownika letniska w określonym terminie (powiadomienie to byłoby wiążące. Zaś w przypadku braku takiego zgłoszenia — określonym terminie, kierownik mógłby przyjąć nauczycieli zgłaszających się do niego bezpośrednio, co zresztą nie przeszkadzałoby, aby sprawę ostatecznie sfinalizować z pośrednictwem Związku.

— Trzeba by — mówili kierownicy letnisk — przeanalizować zasady opłat za letniska i albo zmienić system opłat (za poszczególne łóżka), albo zrewidować podstawy ustalania budżetów letnisk.

— Należałoby — mówiono — stale aktualizować informacje o letniskach. O ile bowiem przesadnie optymistyczne — są składowie, budzą potem rozgorzcylenie, zaś i pretensje, o tyle przedstawiające obiekt w zbyt ciemnych barwach — mogą niepotrzebnie odstraszać. Przykładem może być Czarny Potok. W informacji podano, iż budynek jest niezalekany, trytykowany, woda studzienna, podłogi ptychokamne. Tymczasem okazało się, iż w tym roku jest już światło elektryczne (wczasowicze korzystają nawet z telewizora), podłogi — parkietowe, zaś woda wprawdzie studzienna, ale dostępna we wnętrzu budynku. Przy czym, według opinii czasowiczów, odległość od przystanku autobusowego jest znacznie mniejsza, niż podano w informacji.

Są to — podkreślają — niektóre tylko, formułowane na gorąco, w toku rozmów, uwagi, opinie, sugestie. Trudno byłoby zresztą tuż po rozpoczęciu sezonu precyzować — na podstawie tylko tych wyrywkowych danych — jakieś bardziej autorytatywne wnioski. Jedno jest pewne: przy podsumowywaniu tegorocznej akcji czasowej warto wziąć te opinie pod uwagę. Trzeba szczegółowo przeanalizować przyczyny niewykorzystania miejsc, zjawiska, które mimo systematycznych usprawnień organizacyjnych, powtarzają się co roku. Zrozumiałe, że rozwiązania tego problemu — wobec masowości związkowej akcji czasowej — nie jest sprawą łatwą. Niemniej jednak konieczne jest znalezienie źródła tego zjawiska, po to, aby można je było zlikwidować. Problem jest duży, ważny. Chodził przecież nie tylko o finansowy, ale przede wszystkim społeczny aspekt tego zagadnienia.

Na zaproszenie ambasadora Związku Radzieckiego spotkali się wszyscy w lipcowe popołudnie w gmachu ambasady w Warszawie. Wszyscy, to pedagogzy przybyli do Polski radziecy, uczeni rosyjscy, uczestnicy wakacyjnych kursów.

Gości podejmował ambasador Awierkie Aristow i pracownicy ambasady radzieckiej. Obecni także byli dyrektor generalny Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego — Stanisław Dobosiewicz, dr Krystyna Kuligowska współorganizatorka kursów, dyrektor Centralnego Ośrodka Metodycznego oraz sekretarz Zarządu Głównego ZNP — Kazimierz Makowski. „Głos Nauczycielski” reprezentował red. Mieczysław Zawadka.

Krótkie przemówienie ambasadora Aristowa, w którym nazwiska Mickiewicz i Puszkina przeplatały się ze słowami o braterstwie i współpracy oraz toast za przyjaźń i pomyślne wyniki w pracy, wprowadziły od razu serdeczną atmosferę. Przy lampce koniaku pocięły się rozmowy o tym, co najbardziej interesowało uczestników kursów, wziętą w miłą doświadczeń i myśli z radzieckimi wykładowcami.

Na zakończenie spotkania uczestnicy obejrżeli radziecko-polski film „Zosia”, opowieść o przyjaźni żołnierzy radzieckich z mieszkańcami polskiej wioski, która wyzwoliła spod okupacji hitlerowskiej.

Wspomnienia z uroczystego spotkania w ambasadzie radzieckiej z pewnością długo będą towarzyszyły obecnym nauczycielom.

*

Rozmawiałam z kilkoma uczestnikami kursu odbywającego się w Warszawie — podobne kursy, organizowane przez okręgowe ośrodki metodyczne odbywały się i w innych miastach wojewódzkich — moi rozmówcy zgodnie stwierdzali, że kurs przyniósł im prawdziwe, istotne wartości.

— Przede wszystkim poczułam się znacznie pewniej — mówiła młoda nauczycielka, która uczy dopiero dwa lata.

— Pewnie i od strony językowej, bo miałam wiele okazji do konwersacji, do wysłuchania nagrań magnetofonowych, zwrócenia uwagi na szczególnie częste błędy językowe i od strony metodycznej. Popowiadano mi, jakie stosować metody, aby mój wysiłek był w pełni efektywny, aby uczeń jak najlepiej wykorzystywał lekcję.

— Nowy rok szkolny zaczęło od kłótni z dyrektorem szkoły — groziła inna nauczycielka. — Teraz mam wystarczająco wiele argumentów na poparcie stosowania „nowinek” w nauczaniu.

— Właśnie — wtrącił jej kolega z kursu — dla mnie najistotniejsze jest to, że zaznajomiono nas z tym, co nowe w metodach nauczania języka, jakie pomoce naukowe są niezbędne, gdzie i kiedy je stosować, z najnowszymi badaniami nad efektywnością nauczania języka rosyjskiego i praktycznymi wskazówkami przeprowadzania samej lekcji.

— Dla mnie prawdziwie interesujące były zajęcia z wykładowcami radzieckimi, zwracano na nich szczególną uwagę na posługiwanie się „współczesnym, ży-

wym” językiem, tym, którym mówi się obecnie na co dzień w Związku Radzieckim. Nasz język, którego używamy i w którym wykładano, jest trochę „staroświecki”, a w żywym języku coraz więcej jest przecież używanych i używanych neologizmów, które do nas docierają ze znacznym opóźnieniem.

— Jesteśmy nauczycielami w szkołach zawodowych, dla nas więc bardzo cenne były wskazówki z zakresu nauczania języka i słownictwa technicznego, posługiwanie się literaturą techniczną. Sami wy-

Moi rozmówcy wielokrotnie i z prawdziwą sympatią wymienia nazwiska kolegów: Piotra Nomańczuka, kierownika centralnego kursu wakacyjnego dla nauczycieli języka rosyjskiego. Od niego też uzyskałam szczegółowe informacje o kursie.

Jest to drugi turnus kursu (poprzedni odbywał się w dniach od 28 czerwca do 15 lipca, turnus, który odwiedziłam, zakończył zajęcia 29 lipca) dla nauczycieli języka rosyjskiego w technikach, zasadniczych szkołach zawodowych i na kursach masowego nauczania. (W Miedzeszynie k.Warszawy jednocześnie był prowadzony miesięczny kurs dla nauczycieli ze szkół ogólnokształcących).

Organizatorem kursów jest Centralny Ośrodek Metodyczny. Na tegorocznych kursach wakacyjnych organizowanych w Warszawie i w innych miastach wojewódzkich miało zajęcia 29 wykładowców radzieckich, znakomitych metodyków, pracowników naukowych wyższych uczelni w Związku Radzieckim, przeważnie prowadzących na swoich uczelniach nauczanie języka rosyjskiego dla cudzoziemców.

W stolicy na kursie wykładało 7 rosyjskich, którzy prowadzili zajęcia z historii literatury rosyjskiej, językoznawstwa, kulturoznawstwa oraz praktycznego życia. Wśród nich byli młodzi, czterdziestoletni, z użyciem najnowszych pomocy audiowizualnych.

Ponadto wykładowcami na kursie byli polscy pracownicy naukowi, pracownicy kursów wakacyjnych organizowanych w Warszawie i w innych miastach wojewódzkich miało zajęcia 29 wykładowców radzieckich, znakomitych metodyków, pracowników naukowych wyższych uczelni w Związku Radzieckim, przeważnie prowadzących na swoich uczelniach nauczanie języka rosyjskiego dla cudzoziemców.

Obok wykładowców odbywały się praktyczne zajęcia w znakomicie wyposażonym gabinecie języka rosyjskiego w Szkole Ogólnokształcącej im. J. Kochanowskiego przy ul. Wiktorskiej.

Na kurs przyjechali nauczyciele z całego kraju, z miast i małych miasteczek. Dlatego uzupełnienie programu zajęć przewidzianym w Warszawie, uczestnictwem w życiu kulturalnym stolicy miało dla nich istotne znaczenie.

Jakie zadania miał spełnić kurs? Przede wszystkim poszerzyć praktyczną znajomość języka rosyjskiego, zwłaszcza tego najnowszego, „współczesnego” języka, którym posługują się nauczyciele na lekcjach. Równie istotnym zadaniem było zaznajomienie uczestników kursu z nowoczesną metodyką nauczania, nowymi formami przekazu i egzekwowania wiadomości od uczniów, stosowania pomocy naukowych, środków audiowizualnych, maksymalnego dostosowania metod nauczania do poziomu ucznia. Duży nacisk położono na specyfikę metodyki nauczania w szkołach zawodowych.

Ogólnie określając, kurs miał na celu przekonanie nauczycieli do nowoczesności w nauczaniu i wdrożenie ich do stosowania zdobytej wiedzy w codziennej pracy w szkole. I — sądząc po rozmowach z uczestnikami kursu — zadanie to wypełnił z powodzeniem.

Ważne jest również to, że nauczyciele znakomicie wzbogacili swą wiedzę o Kraju Rad, o jego literaturze, nauce, kulturze, osiągnięciach technicznych — wiedzę, którą przekażą uczniom w całym kraju.

WCZASOWE WAKATY

DANUTA CHRZCZONOWICZ

wano sale lekcyjne, wyposażono je w podstawowy sprzęt: łóżka, pościel, krzesła, stoły, maszyny elektryczne, trochę naczyń kuchennych i stołowych. Chwyćto.

To, co przed kilku laty było eksperymentem, stanowi dziś jedną z form wczasów nauczycielskich. W tym roku letniska nauczycielskie prowadzone są już przez ognia związkowe w 5 województwach: krakowskim, koszalińskim, kieleckim, olsztyńskim i rzeszowskim.

Zalety tej formy wczasów? Mogą z nich korzystać dosłownie całe rodziny nauczycielskie; nie tylko dzieci, ale i dalsi krewni. Przy tym turnusy trwają dłużej — po trzy tygodnie. Ogromnym plusem jest także większa niż na czasach swobody. Każda rodzina otrzymuje do swojej wyłącznej dyspozycji salę szkolną. Nie ma tu skrupowania, tak charakterystycznymi dla wczasów, porami wspólnych posiedzeń, co jest szczególnie dogodnie dla zamierzających w tym czasie organizowane są w atrakcyjnych tu-

z frekwencją. I o to okazało się, że na 152 miejsca, którymi dysponowało tych 10 placówek — w lipcu nie wykorzystano około 78 miejsc, a więc w przybliżeniu ponad 50 proc. Tak więc w ciągu jednego, tylko miesiąca i w 10 tylko punktach letniskowych zmarowało się miejsc dla 19 rodzin nauczycielskich. A przypominać, że w ubiegłym roku było 38 takich punktów. W ten nasz wyrywkowy „sondaż” nie zniekształcił obrazu — świadczą o tym liczby z podsumowania ubiegłorocznej akcji wczasowej. Oboz okazało się, że w letniskach nauczycielskich wykorzystano ogółem w 1966 roku zaledwie 65 proc. miejsc mimo narzekających członków ZNP, że nie mają możliwości uzyskania skierowań.

Pamiętając o tych ubiegłorocznych wczasowych wakatach — postanowiliśmy i w tym roku zainteresować się tą sprawą. Wybor „obiektyw” był, tak jak zresztą poprzedniego lata, zupełnie przypadkowy. Po prostu skorzystałam z uprzejmości prezesa Zarządu ZNP w No-

z przyrodą, ciszą. Jeśli więc podobnie kształtuje się skład osobowy na innych letniskach, to świadczyłoby to, iż pod tym względem ognia związkowe dobrze gospodarzą skierowaniami.

Wśród kolegów korzystających z letnisk spotkałam nauczycieli szkół podstawowych, średnich, a także pracowników naukowych.

Jaka jest ich opinia o tej formie wczasów? Otóż wszyscy nasi rozmówcy wypowiadali się w samych superlatywach, podkreślając takie zalety, jak: możliwość spędzenia urlopu z całą rodziną w atrakcyjnej miejscowości, dużo większa niż w tzw. kurortach swoboda, cisza, spokój, wreszcie niskie koszty.

— Czy warunki nie są zbyt prymitywne? — rzucił mi pytanie jednemu z kolegów w Zarzeczu, gdzie brak jest światła elektrycznego.

— Przecież byliśmy poinformowani o tych warunkach. Wybieraliśmy świadomie. Nam mieszcuchom, przyda się taka odmiana warunków życia.

teraturze znana są z nazwisk ich czołowych funkcyjnarusz, jak: Saefkow, Jacob, Baestlein, Uhring, Neubauer, Posser, Schumann, Engert, Kresse, Schultze-Boysen, Harnack i wielu innych.

Nader znamienity jest ten punkt założeń, który szczególnie silnie akcentuje rolę grup spiskowych „20 lipca” w zakresie ich powiązań z kołami aliantów zachodnich: „grupy te już bardzo wcześnie podjęły kontakty z zagranicą, między innymi z kołami rządowymi mocarstw demokratycznych. Należy podkreślić, że początkowo stało się to w celu przeciwdziałania gotowości rządów tych mocarstw do ustępstw wobec reżimu hitlerowskiego, później po to, aby zapobiec wybuchowi wojny i w końcu — celem doprowadzenia do rokowań pokojowych po zamachu stanu. W związku z tym, na szczególne podkreślenie zasługuje ta okoliczność (podkreślenie to należy do celów propagandowych — S. O.), że to pracownicy służby dyplomatycznej i naczelnego dowództwa wojska, a więc ludzie z warstw szczególnie silnie powiązanych z państwem (hitlerowskim — S. O.) byli tymi, którzy podjęli się nawiązania kontaktów z zagranicą. Czynnici to oni w służbie zrozumiałemu interesowi narodowemu (? — przyp. S. O.) jak również w duchu europejskiego poczucia odpowiedzialności (I — przyp. S. O.) którym pozostali wierni aż do gorzkiego końca, mimo że tak mało znaleźli poparcia i otuchy za granicą”.

Ten pełen sztucznego patosu wywód przypisywany szeptu gąszczy gąszczy, co powód zaawansowanych nadziei, nie może jednak nikogo wprowadzić w błąd. W poufnej notatce Goerdelera z marca 1943 roku czytamy bowiem: „Obydwa mocarstwa anglosaskie mają tak jak Niemcy

(Dokończenie ze str. 5)

razdem mniejszości, który utrzymywał się w władzy przy pomocy środków tak samo brutalnej, jak i do najdrobniejszych szczegółów zorganizowanej przemocy. Ten system panowania odczuwany był od początku przez większość narodu, jako obcy i narzucony mu oraz jako despotyczna okupacja tyranów”.

Nie pozbawiona doży dotychczas to zawarta myśl, że potęga totalitarnego reżimu hitlerowskiego, zawęzła teren działania jednostki ludzkiej, zaś zdecydowany protest pojedynczego człowieka, który wypowiadał faszyzmowi walkę na śmierć i życie, musiał jednak brzmieć jako głos bezsilny, ta właśnie myśl ulegała w powyższym sformułowaniu wyraźnemu wypaczeniu, została zafałszowana i podniesiona do rangi ryczałkowego alibi.

W rzeczywistości przytłaczająca masa Niemców nie należała do „innych (tych maitetowanych) Niemców” (das andere Deutschland), lecz maszerowała wiernie, posłusznie, czasem pomrukiując, ale maszerowała.

Czytelniku „Głosu Nauczycielskiego” zainteresować na pewno niedawno opublikowana książka „Międzynarodowej Komisji do spraw Nauczania Historii” (z siedzibą w Brukseli), pod wielce obiecującym tytułem: „Nauczanie historii bez uprzedzeń” („Geschichtsunterricht ohne Vorurteil”). Zawiera ona zalecenia odbytych w latach 1950—1963 międzynarodowych konferencji historyków specjalnie adresowane do nauczycieli historii. Wskazuje te zalecenia opracowane zostały na sympozjach zorganizowanych przez Międzynarodowy Instytut Podręczników

Szkolnych w Brunszwiku, którego dyrektorem jest prof. dr Georg Eckert.

Przedmowa do tej pracy prezentuje szczerze cele, jakie postawili sobie jej wydawcy: 1) unikanie wszelkiego tendencyjnego preparowania tekstów, zwłaszcza przy przedstawianiu postaci historycznych; 2) korygowanie rzeczowych błędów; 3) zwalczanie biografistyki, zarówno służącej legendarnemu wywyższaniu, jak i nierozczepianiu dyskredytowaniu postaci historycznych; 4) wykorzystanie wszelkiej obrazliwej terminologii w podręcznikach; 5) zapewnienie w nauczaniu dostatecznego miejsca dla różnych krajów, dla ich zagadnień kulturalnych, gospodarczych i społecznych”.

Chlubne zamierzenia i uroczyste zapowiedzi nie idą jednak w parze z realizacją.

Cóż więc zaleca się nauczycielom historii jedenastu państw Europy?

Przede wszystkim autorzy stwierdzają łaskawie „istnienie socjalistycznej organizacji opartej na sieci komórek” oraz „pofiarność różnych kół obywateli, jako obywateli kierowniczych osobowości z kół gospodarczych, administracji i wojska”.

Co sięyczy komunistycznego ruchu oporu, to co prawda „rozwinął się on bardzo żywo w 1933 roku, został wszakże w okresie od 1939 do 1941 roku zdławiony (I — S. O.) w latach wojny jednak, poczynając od 1941 roku znów odgrywa rolę, która nie pozwala go przeczyć, przede wszystkim w obszarach koncentracyjnych”.

Te wymuszone słowa wraz z chybioną próbą umiejscowienia (ograniczenia) komunistycznego ruchu oporu niemal wyłącznie w obszarach koncentracyjnych (choć na pewno odgrywał on tam wybitną rolę)

nie mogą wprowadzić w błąd czytelnika nawet tylko pobieżnie zapoznawego z solidną historiografią ruchu oporu powstała po wojnie w NRD.

Jeśli chodzi o wybitne postacie ruchu oporu, które należy wymienić na lekcjach historii, to w podanym spisie znajdujemy następujące nazwiska: przywódcy socjalistyczni; byli funkcyjnarusze związków zawodowych — Leuschner, który był za przywróceniem monarchii w Niemczech, Haubach, Nierendorf i Leber, duchowni katolicy, biskup hrabia von Galen oraz ojciec Delp, ewangeliczy teologowie, biskup Wurm i dr Dietrich Bonhoeffer (z „Bekennende Kirche” — „Kościoła Wyznawców”), wyżsi oficerowie, marszałek polny von Witzleben, gen. pik. Beck — autor wysłanego do Hitlera memorandum, w którym podkreślił, że „Niemcy potrzebują więcej przestrzeni życiowej zarówno w Europie jak i w koloniach” i pik Stauffenberg, dyplomata Ulrich von Hassel i hrabia von der Schulenberg, wyżsi urzędnicy, byli pruski minister skarbu Johannes Opitz, który uważał, „że Żydzi muszą zniknąć z życia publicznego i gospodarczego, nadburmistrz Goerdeler i sekretarz stanu Planck, studenci — rodzeństwo Scholl.

Jak widzimy, opis ten bardzo daleki jest od naukowego obiektywizmu, jeśli chodzi o kryteria doboru osób. Doremnie szukamy tu bowiem Ernesta Thaelmanna, Karla von Ossietzky’ego socjalistę Rudi Breischaida, czy komunistów twórców organizacji partyjne KPD we wszystkich okręgach Niemiec: w Berlinie, Hamburgu, Saksonii, Turynii, Nadrenii, w Niemczech południowych, twórców wielkich grup ruchu oporu, które w powojennej li-

interes życiowy w tym, aby bolszewizm nie mógł posunąć się dalej na Zachód. Tylko Niemcy mogą powstrzymać bolszewizm”³⁾.

Ale antykomunizm i imperialistyczne cele nigdy nie miały nic wspólnego z prawdziwie ludzkimi żywymi interesami narodu niemieckiego. Demokratyczne rozwiązanie pokojowe nie mogło być osiągnięte na drodze solidaryzowania się z podstawowymi zasadami polityki podbojów imperializmu niemieckiego⁴⁾. I chociaż po zamachu „20 lipca” nastąpiło krwawe fizyczne rozprawienie się faszyzowskiej klikki rządzącej z członkami „opozycji”, to jednak koła skupione wokół Becka i Goerdelera, nigdy nie były czystą siłą narodową niemieckiego ruchu oporu i nie mogą być za taką uznane. Wytworze wysiłki grupy Goerdelera w kierunku osiągnięcia porozumienia z kołami rządowymi USA i Wielkiej Brytanii miały na celu rozsadzenie koalicji antyhitlerowskiej. Po to, aby można było kosztownym krwawym wysiłku ludów osiągnąć przedłużenie wojny drogą przekształcenia jej w wojnę aliantów zachodnich przeciw Związkowi Radzieckiemu.

Niemalą wymowę mają również zalecenia odnośnie traktowania w nauczaniu norweskiego ruchu oporu: „Rola norweskiego Führera nazistowskiego Quislinga na początku wojny nie powinna być przeceniana... Niemieckie próby „nazifikacji” Norwegii oraz norweski ruch oporu należy wzmiankować krótko. Jako przykład metod terrorystycznych i oporu może być wymieniona walka o szkoły, która doprowadziła w 1942 roku do aresztowań i deportowania nauczycieli”.

Natomiast bojowe akcje norweskiego ruchu oporu, np. choćby tak zwana na

świecie operacja „Jaskółka” przeciwko norweskim zakładom elektrotechnicznym „Norsk-Hydro”, produkującym ciężką wodę do fabrykacji bomb atomowych, zorganizowane przy udziale SDB (Władztwa Operacji Specjalnych), zdaniem autorów tej publikacji nie zasługuje nawet na wymienienie na lekcjach historii.

Liczne przykłady powyżej przytoczone wskazują wyraźnie, że niemiecki ruch oporu, obok wielu właściwych mu społecznych cech, był także szczególnym sposobem zachowania się obywatela III Rzeszy, który postawał w określonym stosunku do zmieniających się i rozwijających tendencji państwa totalitarnego. Wachlarz tych postaw ludzkich sięgał od pełnego rezerwy dopasowania się, przystosowania, poprzez nieśmiały zrazu propagandę szeptaną i ulotkową, pomoc przysługiwania, opór bierny, konspirację, aż do podjęcia decyzji przejęcia do politycznego przeciwdziałania, w obronie własnej przeciw wszystkim środkom, także nielegalnym, przeciwko atakom państwowego aparatu przemocy, albo decyzji zorganizowania spisku celem usunięcia siły istniejącego porządku.

Rzecz się przy tym w oczy zbyt słabo, jak dotychczas, zbadany krag problematyki postaw ludzkich w państwie totalnym. Formy postępowania, które dla wielu przyszłych (początkowo zaledwie potencjalnych) bojowników ruchu oporu, były przystankami na drodze do późniejszych decyzji, występowały stale lub czasowo w bardzo różnych postaciach wśród znacznej większości narodu niemieckiego, jeśli wyłączyć fanatycznych nacjonalistów i chwilowo dotrzymujących im kroku Mitläuferów — „poputezyków”.

Jest niewątpliwie błędnym uproszczeniem, kiedy kierownicy wychowania politycznego w systemie szkolnictwa NRF, dzieląc mechanizmicznie cały naród niemiecki na przestrzeni 12 lat powołania hitlerizmu — na sprawiedliwych i niesprawiedliwych, tak jak to ma np. miejsce także w przytoczonym powyżej liście nauczycielskim: „na nieliczną mniejszość, która posługiwała się narzędziami terroru i znaczną większość, ożywną wprawdzie dobrym duchem wolnościowych przekonań, ale niezdolną do działania”.

Jeżeli słusznie odrzucamy metodę wysoce uproszczonego malowania czarno-białych obrazów, to oczywiście należy dokonać tego również w kierunku odwrotnym. Nie da się bowiem utrzymać teza, głosząca, że większość narodu niemieckiego solidaryzowała się absolutnie we wszystkich sprawach, także w zakresie zbrodni — z narodowymi socjalistami.

Jeżeli się chce nakreślić w sposób realny i obiektywny praktykę dnia powszedniego ery hitlerizmu, to znacznie ważniejsze byłoby odróżnienie odcieni.

Znaczna większość postaw ludzkich reprezentowała niewątpliwie szeroki wachlarz pośrednich form odcienia, nianusów różnych sposobów postępowania, zachowania się, które pod wpływem szeregu czynników ulegały z czasem zmianom.

Rację chyba mają ci postępowi historycy i działacze społeczni w Niemczech zachodnich, którzy na podstawie znajomości współczesnego stanu badań nad okresem hitlerizmu stwierdzają potrzebę opracowania przez naukę — wspólnym wysiłkiem historyków, socjologów i psycho-

logów — systematycznej typologii sposobów postępowania, zachowania się Niemców w erę hitlerizmu. Typologia taka musiałaby objąć szeroki wachlarz postaw, poczynając od stanowiska fanatycznych wyznawców hitlerizmu, poprzez różne odmiany oportunizmu i ljalizmu sparaliżowanych strachem chwilowych sojuszników (Mitläuferów — „poputezyków” — tj. dotrzymujących kroku), różne stopnie bierniej obcości aż do udziału częściowego lub całkowitego, mniej lub bardziej czynnego — w szeregach ruchu oporu.

STANISŁAW OKĘCKI

¹⁾ Tytuł w latach 1950—1964 ukazało się tam około 700 wartościowych prac o ruchu oporu.

²⁾ Uznaną przez Europejski Urząd do Spraw Młodzieży i Dzieci (UNICEF) liczy 12 000 nauczycieli historii, należą do niej stowarzyszenia nauczycieli historii w Belgii, Francji, Turcji i NRF, Szwecji, Włoszech, Austrii, Szwajcarii, Holandii, Norwegii, Grecji. Współpracuje ściśle z Radą Europejską, która zorganizowała liczne dyskusje bilateralne dla nauczycieli historii w wielu krajach zachodniej Europy.

³⁾ Gerhard Ritter: „Karl Goerdeler i niemiecki ruch oporu”. Stuttgart 1956. Anhang N. VII, s. 588.

⁴⁾ Między innymi „plan pokojowy” Goerdelera domagał się zwrotu

(Dokończenie ze str. 1)

wenta Zakładu, który nie został przyjęty na dalszą naukę do specjalnej szkoły zawodowej i musiał wrócić na wieś. Już po roku przebywania w nierozumiejącym jego tragedii środowisku — stał się wtórnym analfabeta. Ośmioletni szczęśliwy okres życia, spędzony wśród ludzi otaczających go ciepłą i serdeczną opieką, ośmioletni wysiłek nauczycieli i wychowawców — poszedł na marne.

Usłyszałem relację o aktualnej sytuacji „głuchoniemego”, już absolwenta specjalnej szkoły zawodowej, który nie podjął pracy w spółdzielni inwalidów, ale przybył tu, do rodzinnej wsi, by pracować jako ślusarz w POM-ie. Dobry fachowiec — pracy dostać nie może. Uprzyślenie, zła wola, obawa przed ryzykiem, opinia wsi — kto to wie? W każdym razie — na pewno brak zrozumienia dla człowieka, który, jak inni, ma prawo do normalnego życia.

Przedstawiono mi dziecko, które na widok własnej matki, z rzadka odwiedzającej Zakład, chowa się i unika z nią spotkań. Za nie też nie chce w czasie wolnych dni jechać do domu. Po każdym z takich powrotów lekarz stwierdza na ciele krwawe sińce wielkości dorosłej pięści. Ich autorami są nie tylko rodzice, ale wszyscy, którzy ich odwiedzają w czasie pobytu chłopca w domu.

Szczęśliwie są podobno „głuchoniemi” dzieci, które mają rodziców, mają o kim myśleć, do kogo jechać. Duża jednak grupę stanowią te, których rodzicom prawo do rodzicielskiej opieki odebrał sąd za znęcanie się nad dzieckiem lub te, które zostały wyrzucone z domu lub porzucone, sieroty społeczne. Bardziej jeszcze nieszczęśliwe są dzieci „głuchoniemi”, upośledzone umysłowo. Trudno o tym pisać. Utrwalony w pamięci obraz jest zbyt bolesny.

Okazuje się, że literacki obraz „głuchoniemego” — to nie zawsze literacka fantazja. Życie, brutalne i złośliwe dla bezbronnego dziecka, czasami jeszcze uzasadnia istnienie takiego właśnie wyobrażenia.

OAZA

Może też dlatego wychowankowie są w Zakładzie radośni i uśmiechnięci. Bo otacza je rozumna miłość i troska, cierpliwość i wyrozumiałość, zrozumienie i chęć niesienia pomocy i nauki.

Jednakże, żeby stworzyć taką atmosferę w Zakładzie dla Dzieci Głuchych w Gołotczyźnie trzeba było wielu lat pracy, ogromnego wysiłku i poświęcenia. Nie było to łatwe.

Stanisław Witek, długoletni dyrektor Zakładu, zmarły w maju br., rozpoczął tu pracę w 1953 roku nie tylko od zagospodarowania terenu, posadzenia drzew na bezleśnym terenie, stworzenia zaplecza gospodarczego, ale od tworzenia dobrej tradycji Zakładu, cementowania zespołu, wypracowania metod i form pracy. Obecny dyrektor — Tadeusz Gasik — pracuje w Zakładzie od chwili jego powołania. Troska, która przewija się w jego słowach, świadczy nie tylko o docenianiu i zrozumieniu wagi spraw i problemów — bo to jest zrozumiałe, ale o chęci dalszego usprawnienia pracy, zmniejszenia dręczących Zakład kłopotów.

A jest ich sporo.

Pierwszy dotyczy niezbyt fortunnej lokalizacji Zakładu. Gołotczyzna — to wieś, położona w odległości ok. 10 km od Ciechanowa. Do stacji kolejowej — ok. 4 km. Położenie Zakładu nie jest szczególnie korzystne z tego względu, że wszelkie zalecenia i założenia pedagogiki specjalnej przewidują, iż dzieci głuche powinny przebywać w środowisku ludzi normalnie słyszących i mówiących. Pobyt w odosobnieniu — opóźnia znacznie proces rewalidacji, a ponadto utrudnia proces późniejszej adaptacji w normalnym otoczeniu. Wydawałoby się więc, że nie nie powinno stać na przeszkodzie, by przenieść Zakład z Gołotczyzny do miasta, w Gołotczyźnie natomiast zlokalizować jakiś zakład wychowawczy z miasta. Okazuje się jednak, że nie jest to takie proste, bo, jak dotychczas, nie nie wskazuje na to, by ten słuszny chyba postulat został zrealizowany.

Inny problem — to sprawa decyzji o rekrutacji do Zakładu. Obecnie na ok. 160 dzieci głuchych w Zakładzie przebywa ok. 30 dzieci głuchych upośledzonych umysłowo. Tworzą one dwie klasy. Stopień upośledzenia tych dzieci jest różny, brak jest dla nich programów nauczania. Doceniając w pełni trudności w organizowaniu specjalnych zakładów, trudno jednak pogodzić się z tym, by rewalidację nieszczęśliwych dzieci opóźniać dodatkowo kazać obcować im z upośledzonymi rówieśnikami. Mówi się o szkodliwym wpływie tych jednostek na dzieci w normalnej szkole podstawowej. Nietrudno domyślić się spotęgowanego tego wpływu na dzieci głuchoniemi, mające i tak utrudniony kontakt z normalnym środowiskiem rówieśniczym.

Istnieje co prawda zakład dla dzieci głuchych upośledzonych umysłowo w Lublińcu (woj. katowickie), ale tam brak już miejsc. Nie powód to chyba do doraźnego „łaniania potrzeb” przez organizowanie ad hoc dodatkowych klas specjalnych zwłaszcza, że krok ten powodu-

je ujemne skutki wychowawczo-lecznicze. Trzeba stworzyć nowe, specjalistyczne placówki. A na to środki muszą się znaleźć.

Zakład dla Dzieci Głuchych w Gołotczyźnie — to placówka dobra. W ub. r. szk. na 160 dzieci — do następnych klas nie promowano zaledwie 7. Ale już na pierwszy rzut oka zwracają uwagę trudności lokalowe placówki. Są sypialnie, w których śpi ok. 20 wychowanków. Tymczasem 26 cennych pomieszczeń zajmuje personel Zakładu. I słusznie. Bo niby gdzie mają mieszkać. Tylko, że nikt jakoś do tej pory nie pomyślał o zbudowaniu obok Zakładu domu mieszkalnego dla wychowawców i nauczycieli. Wydawałoby się, że przy ogromnych nakładach na szkolnictwo specjalne — kwota na budynki dla kadry nie stanowi problemu. Zwłaszcza, że miejsce pod budowę jest. Okazuje się jednak, że gospodarze województwa warszawskiego niezbyt kwapią się do podobnych inwestycji. Przykładem jest np. budowa internatu w drugim takim zakładzie województwa — w Śródborowie, która ciągnie się już od lat, a ma być podobno sfinalizowana dopiero pod koniec bieżącej pięciolatki.

Może też dlatego istnieją trudności w zapewnieniu pełnej obsady kadrowej. Płynność kadr — to jeden z głównych problemów tych zakładów. Np. w Zakładzie w Gołotczyźnie brakuje w tej chwili ok. 10 osób. Skąd jednak wziąć ludzi

»GŁUCHONIEMI«

z kwalifikacjami skoro nie można zapewnić im odpowiedniego mieszkania, które jest szczególnie cenne w placówce położonej w zbytnej odległości od najbliższego miasta.

Może też i dlatego Zakład w Gołotczyźnie nie posiada etatowego lekarza, nie mówiąc już o specjalistach. Doraźne wizyty lekarskie powodują ten efekt, iż nie wszystkie dzieci badane są dokładnie nawet w początku i końcu roku szkolnego, a okresowe kontrole stanu zdrowia przeprowadzane są pobieżnie.

Poważnym problemem jest umieszczenie absolwentów Zakładu w szkole zawodowej. Jak w żadnym innym przypadku — tak w tym, istnieje konieczność, by wszyscy mieli możliwość zdobycia określonego zawodu. Tymczasem w województwie warszawskim na dwa istniejące zakłady dla dzieci głuchych (w Gołotczyźnie i Śródborowie) nie ma ani jednej szkoły zawodowej. Młodzież rozsiała się więc do szkół w innych województwach, które z partykularnych względów — w pierwszym rzędzie przyjmują młodzież ze swego terenu, a jak wynika z obowiązujących przepisów — tylko do lat 18.

Podawałem przykład wtórnego analfabetyzmu wychowanka zakładu, który nie został przyjęty do szkoły zawodowej. Analfabetyzm ten grozi także tym absolwentom, którzy ukończyli lat 18 i z tego powodu nie mogą być przyjęci do szkół zawodowych. I znów wydawałoby się, że nie nie stoi na przeszkodzie, by szkoły zawodowe dla dzieci głuchych w województwie warszawskim powstały, chociażby w oparciu o istniejące już zakłady. W Gołotczyźnie np. można by uruchomić szkołę ogrodniczą czy nawet ślusarsko-mechaniczną zważywszy na 34-hektarowe gospodarstwo Zakładu i pobliski POM. Plany przewidują jednak poruszenie tej sprawy dopiero po roku 1970. Dlaczego?

Nie nie mówi się natomiast o podwyższeniu wieku przy staraniach o przyjęcie do specjalnych ZSZ. Wydaje się, że tu nie mogą obowiązywać te same ustalenia, co w szkolnictwie normalnym.

Ścisłe z tym wiąże się problem zapewnienia równego startu do życia tym dzieciom głuchym, które wykazują się specjalnymi uzdolnieniami. Ukończenie szkoły specjalnej, o zaniżonym programie nauczania, automatycznie zamyka im drogę do zdobywania wyższych szczebli kształcenia. Co najwyżej mogą kontynuować naukę w specjalnych zasadniczych szkołach zawodowych.

A wśród absolwentów specjalnych szkół dla głuchych są jednostki, które naprawdę zasługują na szczególne zajęcie się nimi. Czy dla tej grupy nie można zorganizować kursów wyrównawczych, na których mogliby uzupełnić wiedzę w zakresie normalnej szkoły podstawowej, a następnie przechodzić do normalnych szkół średnich i wyższych. Przecież życie daje nam przykłady szczególnej przydatności ludzi głuchych z wyższym wykształceniem w tych zawo-

dach, które wymagają szczególnej koncentracji uwagi, np. w matematyce, w programowaniu maszyn cyfrowych itp. Czy brak troski o tę grupę dzieci głuchych nie świadczy o brakach w systemie szkolnictwa specjalnego?

Kuratoryjna kadra nadzorująca szkolnictwo specjalne w całym województwie warszawskim jest nadzwyczaj szczupła. Liczy 1 (jedną) osobę, która choć z prawdziwą energią dwoi się i troi, by móc na bieżąco „załatać” wszystkie braki — na pewno nie jest w stanie sprostać wszystkim potrzebom, zwłaszcza że jak wykazują przykłady, potrzeby to rzeczywiście duże, wymagające troski nie tylko władz szkolnych, ale i gospodarzy terenu. Do niedawna w Kuratorium działał cały wydział szkolnictwa specjalnego. Czyżby zlikwidowanie wydziału miało oznaczać uznanie, że szkolnictwo specjalne województwa nie wymaga już intensywnej opieki?

Podatłem tych kilka spraw, bo, jak przypuszczam, są one typowe dla wszystkich placówek tego rodzaju. Potwierdzają potrzebę intensyfikacji prac nad rozwojem szkolnictwa specjalnego, nad uczynieniem z tych szkół mocnych i trwałych ogniw w naszym systemie oświaty i wychowania. Takich lub podobnych problemów, które czekają na rozstrzygnięcie, jest sporo. Jeszcze na jeden chciałem zwrócić szczególną uwagę, bo wyznacza los człowieka, jego udział w

le specjalnej. Na tym samym wniosku — czyjaś bez troska na ferowaniu wyroków ręką postawiła ostateczny wyrok:

„Z przeprowadzonego wywiadu dziecko należy umieścić w szkole specjalnej dla debilów”. (podkr. — A. Oracz).

Los dziecka został przesądzony. Nieudowodnione upośledzenie umysłowe zostało biurokratyczną decyzją potwierdzone, stwierdzona wada słuchu — pozostawiona bez żadnej opieki lekarskiej.

Rzecz dzieje się w Warszawie. W mieście, które ma ambicje być centrum naukowym pedagogiki specjalnej.

Nowy rok szkolny Kryśka rozpoczyna w zakładzie dla dzieci głęboko upośledzonych, lecz normalnie słyszących w K. Otoczenie szokujące. Dla Kryśki, przebywającej wśród dzieci normalnych, obcowanie na co dzień z rówieśnikami upośledzonymi — nie mogło pozostać bez wpływu na stosunek do ludzi dorosłych, do nauki.

Po dwóch latach pobytu w K., postanowiono wniosek o skierowaniu jej do innego zakładu, dla dzieci głuchych upośledzonych umysłowo.

Opinie, które ten wniosek popierają, są nie tylko sprzeczne, ale zastanawiające z uwagi na zawarte w nich treści, które nawet dla człowieka nie będącego ani psychologiem, ani psychiatrą — są szokujące.

Oto fragmenty tych opinii.

Najpierw Zakładu Wychowawczego w K.:

„...Niepowodzenia szkolne przeżywa i zamyka się w sobie. Zniechęcona nie chce odpowiadać nawet na zrozumiałe pytania. W stosunku do nauczycieli nieufna... Lubi bardzo towarzystwo swoich rówieśniczek, potrafi się bawić, a nawet przewodzić w zabawie. Jest bardzo lubiana przez koleżanki...
Wykazuje duże zdolności artystyczne. Ma duże wyczucie rytmu. Łatwo uczy się tańca (podkr. — A. Oracz). Lubi różne robotki ręczne, wrażliwa na piękno przyrody, umie ją szanować. Swoje obowiązki w Zakładzie wypełnia sumiennie. Ma zamiłowanie do ładu i porządku. Sama jest zawsze czysta i schludnie ubrana...”

A oto opinia szkoły specjalnej:

„...Jest posłuszna, karna. Chętna do pracy. W klasie świetnie pełni funkcję gospodyni klasy i obowiązki dyżurnej. Specjalne zdolności zdradza do rysunków i prac ręcznych. Rysuje ładnie i wykazuje przy tym wiele własnej inicjatywy twórczej” (podkr. — A. Oracz).

Taką oto opinię uzyskuje dziewczynka uznana za głęboko upośledzoną umysłowo i głuchą. One to mają potwierdzić wniosek skierowany do Kuratorium o umieszczenie dziecka w zakładzie dla dzieci głuchych, upośledzonych umysłowo. W wyniku tego wniosku — poradzani lekarz psychiatra i psycholog przeprowadzają badanie dziecka. I stwierdzają m. in.:

„...Bardzo dobrze rysuje, rysunek bogaty, sprawna ruchowo. Nie sprawia wrażenia głęboko upośledzonej, w dużej mierze poziom obniża wada słuchu. Dziewczynka w obecnej sytuacji nie rokuje nadziei ukończenia szkoły specjalnej...”

Wydawałoby się, że w konsekwencji los dziecka ulegnie odmianie, że w wyniku wyroku aeropagu specjalistów dziewczynka otrzyma przydział do zakładu dla dzieci normalnych, lecz niedosłyszących. Tymczasem ostatnie zdanie wniosku brzmi:

„...Powinna kontynuować naukę w szkole specjalnej dla dzieci głuchych, upośledzonych umysłowo...” (podkr. — A. Oracz).

Zaskakujące i przerażające. Jednakże prawdziwe.

W konsekwencji dziecko bez badań w komisji selekcyjnej otrzymało skierowanie zgodne z wnioskiem psychiatry i psychologa.

Wyobraźmy sobie los Kryśki. Dostanie przydział do grupy dzieci zupełnie głuchych, głęboko upośledzonych. Jak twierdzą wychowawcy — już po roku przestanie mówić, słowa zastąpi gestykulacją. Stanie się jeszcze bardziej nieufna, zamknięta w sobie, zrażona do świata i ludzi. Bo czy psychika dziecka może pozostać niewzruszona wobec widocznego krzywdzącego jej zbiegu okoliczności, przypadków, łatwin w życiu i pracy dorosłych.

Co stanie się z Kryśką? Jestem przekonany, że los sprawi, iż Zakład poczuje się współodpowiedzialny za życie tego dziecka, skieruje do odpowiednich specjalistów, zapewni dziecku właściwy rozwój.

Problem odpowiedniej, słusznej i sprawiedliwej diagnozy, jak i wszystkie problemy szkolnictwa specjalnego, należy bowiem rozpatrywać nie tylko w odniesieniu do sprawdzania słuszności takich czy innych założeń pedagogiki specjalnej, czy polityki tego szkolnictwa, ale przede wszystkim ze względu na samo dziecko, oczekujące nie naszego współczucia, lecz życiowej pomocy.

ANDRZEJ ORACZ

* W pedagogice specjalnej nie występuje pojęcie „głuchoniemi” lecz „głuchy” tzn. dolny nauczyciel może mówić. Przyjęta w artykule terminologia jest odzwierciedleniem tradycyjnego nazewnictwa.

Nim zacznę urlop

26 czerwca. Mam jeszcze zajęcia z przyszłoroczną ósmą klasą. Sami uczniowie chcieli. Muszą zapoznać się z nową lekturą do języka polskiego, przeczytać trudniejsze fragmenty. Cel prosty, żeby już w czasie wakacji można było coś przygotować. Wybrałem trzy pozycje. Zjawili się 40 proc. klasy. A tak wszyscy gwarantowali obecność. Zajęcia jednak przeprowadziłem.

Po południu kończyłem protokół z posiedzenia rady pedagogicznej; zbierało się spraw na 19 stron dużej książki. Na „deser” — telewizja.

27 czerwca. Zebranie zarządu spółdzielni uczniowskiej. Zabezpieczyliśmy majątek na okres wakacji. Napisaliśmy zamówienie do miejscowego sklepu na towary na miesiąc wrzesień. Wypowiadaliśmy delegację do Zarządu GS z kwiatami i życzeniami z okazji Międzynarodowego Dnia Spółdzielczości. Zamknęliśmy księgi rachunkowe. Potem zjawili się klienci po zakup używanych podręczników. Na zakończenie zorganizowaliśmy wspólne kąpielisko w pobliskim stawie.

28 czerwca. Wywiozłem książki do pedagogicznej biblioteki powiatowej, żeby mogli dokonać remanentu. Zawsze biblioteka ma kłopot, jak są książki w terenie. Wypożyczyłem „Szczęściarza” — Żukrowskiego i do wieczora przeczytałem. Jest to pozycja z lektury „Złotego Kłosa”, opracowanie wysłałem do redakcji „Dziennika Ludowego”.

29 czerwca. Jeszcze praca w szkole. Sprzątanie dekoracji przed malarzami, porządkowanie pomocy naukowych. Aktyw uczniowski dopisał, ale czuć było zapach wakacyjny! Wieczorem — telewizja.

30 czerwca. Praca w ogródku i na działce szkolnej. Wyrwaliśmy zielsko, zniszczyliśmy stonkę na małej plantacji ziemniaków, oporządziśmy kilkanaście krzaków

tomatorów, przerwałem zagonik kukurydzy. Musi wszystko lśnić czystością i porządkiem przed wyjazdem, następnie czytanie codziennej prasy, rozwiązywanie krzyżówki, tak dla rozrywki. Wieczorem spacer z rodziną.

1 lipca. Żona przeobraziła się w malarza i farbą „Sam maluj” odnowiła pokój. Nawet udało się: wystawiłem jej czwórke z plusem. Ja donosiłem wodę i pomagałem w sprzątaniu. Obiad jedliśmy bardzo późno.

2 lipca. Niedziela, godzina 6.00 jeszcze wszyscy śpią, a w szkole budzi nas hałas. Co to jest? Okazało się, że trudno w naszej okolicy o zduna. Pan kierownik wyszukał go gdzieś na drugim krańcu powiatu, a ponieważ rzemieślnik zajęty jest w dni popołudniowe na państwowej posadzie, więc zgodził się przyjechać w niedzielę. Kierownik szkoły przygotował materiał i już od rana zdun uzdrawiał szkolne piece. Jest już opał sprowadzony, piece będą naprawione i szkoła już jest zabezpieczona na okres zimowy. Jeśli tak będzie ze wszystkimi rzemieślnikami do wakacyjnych remontów — to da się we znaki kierownikom szkół.

W tym dniu przeczytałem „Głos Nauczycielski” na bieżąco (ostatni w czerwcu). Szczególnie utkwił mi w pamięci artykuł na ostatniej stronie. Cięty jest artykuł, bo i słuszny.

3 lipca. Uporządkowałem różne wycinki z prasy, wkleiłem je do albumu fizycznego, chemicznego, matematycznego; będą służyć jako pomoc naukowa w nowym roku szkolnym. Zawsze je zbieram. Gromadzę materiały aktualne, przydają się na różne okazje.

4 lipca. Przygotowujemy się do wyjazdu w okolice Płocka do rodziców żony. Córki żyją tylko podróżą. Ostatni wieczór przy telewizorze.

5 lipca. Podróż. Autobus przepełniony, pasażerowie mają podwójne bilety na jedno miejsce. Psioczą na „Orbis”, na PKS. W końcu jedziemy i podziwiamy zboża na polach. Jesteśmy na miejscu. Wieś otrzymała światło

MOJE WAKACJE

elektryczne w bieżącym roku. Jest radio, a więc łączność ze światem zapewniona.

8 lipca. W pobliskim osiedlu kupuję w kiosku gazety. Pytam o „Głos Nauczycielski”. Kioskarz powiada mi, że w ciągu roku otrzymuje 3 egzemplarze dla miejscowych nauczycieli z „ogólniaka”. Wszyscy wyjechali, więc nie zamawia naszego pisma na wakacje. Czy w okresie wakacji nauczyciele nie czytają „Głosu”? Redakcja będzie musiała zmniejszyć nakład, a to już źle. Idę do sklepu papierniczego, żeby kupić papier podaniowy. Nie ma. Trzeba pisać list na kartce zeszytowej.

STANISŁAW WIEŚNIAK

Nareszcie sam...

Wszyscy jednomyślnie w domu osadzili: wyjeżdżamy już 25 czerwca na wypoczynek, a tato zostaje w domu. Żona podsunęła projekt: urządzisz sobie wczasy pod gruszą, wypoczniesz dobrze bez nas, bez kłopotów. Oszołomiony decyzją i perspektywą pozbicia się kłopotów — przyjąłem orzeczenie bez sprzeciwu. W duchu myślałem: spokój, spokój nade wszystko, a reszta się ułoży. Tak tęskniłem za spokojem cały rok szkolny. Więc trafia się mi — jak ślepej kurze ziarno. Ale się wyśpię, naczynam, wypocznę... Jedzenie? Jakoś dam sobie radę. Mleko mi przyniosą, w bułeczki zao-

patrzę się, obiad w gospodzie. Czego mi więcej do szczęścia potrzeba?!

W domu opustoszało. Zostaliśmy — kot i ja. Wyciągnąłem się na kanapie. Raj na ziemi! oby tak długo... Raniutko kot wskoczył do sypialni przez otwarte okno i zbudził mnie. Już sen przysnął. Wstałem i zacząłem sprzątać, bo przecież nie mogę w balaganie — po wyjeździe domowników — wypoczywać. A nazbierało się tej roboty. Wszystko porozrzucać... Dzwonek; listonosz z pocztą i gazetami. Jest list od żony. Szybko rozerwałem kopertę i aż mi się w głowie zakręciło. Cała litania sprawunków.

Pamiętaj — pisze — masz dużo czasu, więc musisz wykupić węgiel i znieść do piwnicy. Piwnicę przedtem posprzątaj, pozamiataj, wszystko poukładaj. Wytrzyj kurze z pólek, bo tam pójdą konfitury. Wybierz też sadzę z nasady kominów w piwnicy, bo tego tam zebrało się przez cały rok. Zrób to teraz, bo później nie będzie dostępu po zwiezieniu węgla.

Pamiętaj o spłacie raty, zapłać za mleko za lipiec, opłać radio i telewizor. Podlewaj kwiaty w doniczkach, a także pomidory, gdy będzie sucho. Kontroluj zaprawy w słoikach, czy są dobrze uszczelnione, czy się nie psują. Zapłać za gaz i wodę. Karm dobrze kota. Wynieś płaszcze zimowe z szafy na słońce, wyczyść i posyp naftaliną. Pamiętaj, to ważna sprawa, nie odkładaj! Nasza kuchnia wymaga już remontu. Weź malarza i sprawisz nam ładną niespodziankę.

Aż mi zaszumiało w głowie. O praniu nie było nic — bo nie umiem! Czytałem ze trzy razy i nie mogłem tego wszystkiego spamiętać. Ale to nic. Jakoś

wakacje przeżyję. Od jutra muszę się wziąć pilnie do roboty. Gdy będę wstawał raniutko, to może wszystkiemu dam radę. Ale leżak, grusza? Ach, nie trzeba załamywać się...

Odwiedziła mnie teściowa, życząc przyjemnych wakacji. A ja zacząłem myśleć o pracy na serio. Wszystko było takie pilne. Może w sierpniu wypocznę.

Wstałem raniutko, postawiłem mleko na gaz, a sam do roboty. Nim przybiegłem do kuchni, już mleko wykpięło, aż cały dom pociemniał od dymu. Nie było co jeść na śniadanie. Resztę mleka dałem kotu, ale on powąchał tylko i nie chciał pić, bo się przypaliło. Więc obaj oblizaliśmy się tylko i on poleciał na dach, a ja do piwnicy. Tu trzeba było rękawy zakasać! Nazbierało się tu wszystkiego przez cały rok, trzeba sprzątać, sprzątać...

Południe. Czas na obiad, a ja jak kominarz. Ale kieszki marsza grają, więc trzeba wyłączyć piwnicy. Mycie trwało długo. Głodny jak wilk rzuciłem się do obiadu w stołówce PSS. Zmiałem wszystko, co dali. Kto pracuje — ten je. Ale... może jadłem za szybko, za smacznie, może dlatego że do obiadu byłem na czczo, dość tego, że mi coś zaszkodziło.

Usiadłem w domu bezradnie. Do roboty nie idę. Ale... mam zrobić niespodziankę?! Czym ja się pochwalę? Ale nie trzeba z niczym zwlekać, więc wziąłem pióro i piszę: Wracajcie do domu, żadnej niespodzianki nie będzie, sam nie poradzę!

Grusza w ogrodzie szumiała, a ja myślałem: czy przyjadą... i kiedy już te moje wakacje wreszcie się skończą?!

EDWARD OSUCH
Chelmska

„BIĆ A POTEM PYTAC”

Ponad 30 miast amerykańskich spłynęło krwią. Przez Stany Zjednoczone przechodzi fala potężnych murzyńskich buntów, uśmierczanych z taką niebywałą zaciętością i okrucieństwem zarazem, że nawet liczne dzienniki amerykańskie przyrównują toczące się walki do wojny domowej. W walkach zabitych zostało sto kilkadziesiąt osób, tysiące rannych. Tysiące ludzi utraciło dach nad głową. Zniszczenia i straty będące wynikiem desperackiej fali buntu a przede wszystkim jej uśmierczania oceniane są na około miliard dolarów. Iskrą, która rozpalila pożar stały się incydenty w 400-tysięcznym mieście Newark, w stanie New Jersey. Newark jest w 55 proc. zamieszkałe przez ludność murzyńską, żyjącą w nieprawdopodobnej — na tak bogaty kraj, jak USA — nędzy i w nieprawdopodobnych antysanitarnych warunkach.

Rozpaczliwe wystąpienia murzyńskie spotkały się z typową dla dzisiejszego ustosunkowania się do problemu murzyńskiego w Stanach Zjednoczonych reakcją Kongresu amerykańskiego. Izba Reprezentantów uchwaliła mianowicie niezwykle pośpiesznie ustawę, która uznała „podburzanie do rozruchów za przekroczenie granicy stanowej i za przestępstwo w ramach kodeksu federalnego, zagrożone karą 5 lat więzienia. Trzeba znać amerykańskie ustawodawstwo, by zrozumieć, że na przykład w południowych stanach USA za „przekroczenie granicy stanowej” może być uznany sam fakt posiadania kolorowej, nie białej skóry. Dokonano tedy jeszcze jednego czarnocześnie posunięcia. Niczym innym tylko obroną i tak już ograniczonych praw obywatelskich trzeba tłumaczyć wzmoczenie następnie walk murzyńskich w innych miastach USA. Policja, „gwardia narodowa” i wojsko — w powołaniu się na tę ustawę — przyjęły w konsekwencji zasadę: „bić czarnuchów a potem pytać czy są w ogóle winni”.

Johnson zajął w tej kwestii postawę charakterystyczną dla jego jezuickiego stanowiska, po tylekroć demonstrowanego już przy wielu decyzjach politycznych. Wygłosił przemówienie telewizyjne, w którym wezwał naród do modłów o pokój między rasami. 30 lipca był też — zgodnie z tym wezwaniem Johnsona —

„Dniem Modłów Ogólnonarodowych” w USA. W tym samym przemówieniu prezydent amerykański zapowiedział przeszkolenie „gwardii narodowej” w metodach uśmierczania ruchów masowych i w metodach walk ulicznych. A więc... najpierw pomodlić się a potem „bić czarnuchów!”. Oto właściwy stosunek do problemu murzyńskiego.

TRZY LATA WOJNY

5 sierpnia mija dokładnie 3 lata od momentu, gdy Stany Zjednoczone w swej agresywnej wojnie prowadzonej przeciwko narodowi wietnamskiemu zaatakowały bezpośrednio Demokratyczną Republikę Wietnamu. Podjęły próbę uśmierzenia narastającej walki narodowowyzwoleńczej w Wietnamie Południowym poprzez terrorystyczne działania zbrojne w stosunku do DRW. Zaatakowanie Demokratycznej Republiki Wietnamu — które zgodnie z buńczucznymi zapowiedziami Pentagonu — miało przynieść „rozwiązanie problemu wietnamskiego” (trzeba czytać że miało przynieść zdławienie ruchu oporu w Wietnamie Południowym) pograżyło tylko USA w wojnę, z której dziś nawet najbardziej twarde głowy w amerykańskim departamencie obrony nie



notatnik

wyposażona obrona powietrzna DRW musiała kontratakować przy pomocy karabinów maszynowych a nawet ręcznych. Dziś karabiny maszynowe zmuszają wraz z rakietami i niezliczonymi gniazdami artylerii zenitowej do obierania przez amerykańskie samoloty nieraz „pułapu zerowego”. Stawiana jest coraz bardziej pod znakiem zapytania skuteczność amerykańskich bombardowań DRW.

W Wietnamie Południowym partyzanci (już nie partyzanci, lecz w istocie regularne jednostki FVN) wyposażeni w broń rakietową atakują bezpośrednio bazy lotnicze. Milionowe straty w sprzęcie przyniosła operacja na Danang. Nie pierwsza już w tej wojnie.

Do USA wyjeżdża coraz więcej trumien z Wietnamu.

JOHNSON ROZGLĄDA SIĘ

Stany Zjednoczone rozglądają się po Azji i rejonie Pacyfiku, co zrobić, by przy braku sukcesów w wojnie wietnamskiej, umocnić swą pozycję w strefie, którą imperialistyczna polityka USA uznała za „strefę wewnętrznej amerykańskiej jeziora”. Dwaj osobiści i specjaliści wysłannicy prezydenta Johnsona — gen Maxwell Taylor (ten sam, który był „namiestnikiem” USA w Sajgonie i faktycznym szefem amerykańskich sił zbrojnych w Wietnamie Południowym, w randze ambasadora przy rządzie Ky) oraz przewodniczący grupy doradców Białego Domu Clark Clifford (główny doradca od spraw wywiadu) wybrali się ze specjalną misją w rejon Pacyfiku. Na trasie ich podróży znalazły się Filipiny, Australia i Nowa Zelandia, a następnie Korea Południowa i Syjam, prawdopodobnie również Tajwan.

Stany Zjednoczone poprzez tę misję — na którą nie bez pewnego podejrzenia patrzają w Londynie, bo ta strefa zahaça o brytyjskie również interesy — usiłują dokonać kolejnego rekonesansu. Chcą uzyskać zapewnienia, że znajdują poparcie, zorientować się co do planów rządów, które jako jedyne na całą Azję południowo-wschodnią udzielają poparcia USA w ich wojnie w Wietnamie.

Nie wróży to nic dobrego, również zresztą i Stanom Zjednoczonym.

ZBIGNIEW SOŁUBA

warto przeczytać

przegląd
czasopism
pedagogicznych

W 5 numerze miesięcznika „NOWA SZKOŁA” znajdujemy kolejne wypowiedzi uczonych na temat postępu pedagogicznego. Głos zabierają prof. dr Bogdan Nawrocki i doc. dr Roman Polny. Pierwszy autor za główne uważa problemy podstawowe, („...”) a więc — jak pisać — nie górne rejony procesu kształcenia, lecz jego fundamenty, nie posilek, lecz przygotowanie pod ziarnem.

Zwracając uwagę na programy szkolne autor stwierdza:

„Zarówno nasza szkoła podstawowa, jak średnia ogólnokształcąca urabiają takie masy młodzieży na jednym z wszystkich programów, a potem po 11 czy 12 latach tak jednolitego kształcenia, które przecież nie może być jednakowo dobre dla wszystkich, już po maturze przychodzi egzamin konkursowy do szkół wyższych. Z dotychczasowych doświadczeń wynika, że temu egzaminowi większość maturzystów nie może poddać (...).

Kto chce wszystkich kształcić według jednego wzoru, ten się nie liczy z zainteresowaniami młodzieży. I rzeczywiście, ze wszystkich, co wiemy o naszej współczesnej szkole, zdaje się wynikać, że ona nie potrafiła zainteresować młodzieży przedmiotami nauczania. Nie zainteresowania pobudzają w niej do pracy, lecz system ocen szkolnych i groza egzaminów (...).”

Roman Polny nieco inaczej rozkłada akcenty.

„Centralnym problemem postępu pedagogicznego jest — czytamy w wypowiedzi — zagadnienie treści nauczania, a nie metod nauczania (...). Na wyróżnienie problematyki metodycznej w stosunku do problematyki treści nauczania wskazuje również tendencja w naukach pedagogicznych do mnożenia różnorodnych haseł, którymi zasympawani są nauczyciele. Zakres i treść tych haseł nie jest ustalona, gdyż brak jest integracji i jest przewodniej idei. Ta przewodnia idea byłaby koncepcja treści nauczania.”

Czytelników interesujących się głębiej polityką oświatową zainteresuje artykuł Wojciecha Iwanowskiego pt. „Niektóre trudności kadrowe”. Autor zajmuje się w nim — wynika to już z tytułu — trudnościami przy realizacji polityki kadrowej. Tych ostatnich przypisuje autor m.in. poziom plac i możliwości mieszkaniowe, zwłaszcza na wsi. Wiele uwag znajdujemy na temat egzaminów kwalifikacyjnych oraz przeciążenia nauczycieli nadmiarem zebrań i pracą społeczną. O tej ostatniej kwestii W. Iwanowski pisze:

„Ostatnie badania tej sprawy wykazały, że w okresie od 1 września 1955 r. do 31 czerwca 1956 r. liczba godzin zwolnień nauczycieli i wychowawców od pracy w podstawowej w celu pełnienia różnych funkcji społecznych wyniosła ogółem 728 700 efektywnych godzin. Do tej informacji dodać należy, że liczba — z daniem dobrze zorganizowanych pracowników administracji szkolnej — jest znacznie zaniżona, gdyż osoby prowadzące odpowiedzialność statystykę z różnych względów nie ujawniają wszystkich dni odrywania nauczycieli od pracy.”

W tym numerze dr Edda Flesnerowa pisze o „Nowych propozycjach psychologów dla dydaktyki”.

Redakcja miesięcznika „PROBLEMY OPIEKUNCTWA WYCHOWAWCZEGO” rozpisła ankietę na temat lepszego zaspokojenia potrzeb dziecka. Numer 5 czasopisma przynosi pierwsze wypowiedzi. „Wymagania pedagogiczne w świetle teorii wychowania politycznego” są tematem artykułu doc. dra Aleksandra Lewina. Andrzej Oracz publikuje dyskusyjny artykuł pt. „Wychowawcza prog”, związany z reformą szkoły średniej.

Nowe techniki nauczania zawsze budziły żywe zainteresowanie nauczycieli, wywołując czasami burzliwe dyskusje. Niewątpliwie w podobnej sytuacji znajduje się od dłuższego czasu nauczanie programowe. W 6-7 numerze miesięcznika „ŻYCIE SZKOŁY WYŻSZEJ” znaleźć można kilka artykułów poświęconych temu zagadnieniu. Wincenty Okoń w publikacji pt. „Nauczanie konwencjonalne a nauczanie programowe” dokonuje zwięzłej charakterystyki obu kierunków.

Autor pisze m.in., że: „(...) zainteresowanie nauczaniem programowym nie koncentruje się wyłącznie w szkolnictwie ogólnokształcącym. Zasięg jego rozszerzył się błyskawicznie na szkolnictwo zawodowe, szkoły specjalne, wyższe uczelnie, przy czym najżywiej interesują się nim uczelnie wojskowe, jak również na różne dziedziny przemysłu, gdzie widzi się w nim właściwą metodę szybkiego rekwalifikowania pracowników”.

W toku artykułu autor koncentruje się szczególnie na dwóch zagadnieniach: stosunku nauczania podającego do nauczania programowanego oraz stosunku nauczania problemowego do nauczania programowanego.

Czesław Kupisiewicz dokonuje „Ogólnej charakterystyki nauczania programowanego”. W artykule jest mowa m.in. o programie liniowym, programie rozgałęzionym, mieszanym, śródkach służących do ekspozycji programu. Jan Jackiewicz podejmuje temat w artykule pt. „Refleksje na temat nowoczesności w nauczaniu języków obcych”.

Artykułem Walerego Taborskiego — „Jeszcze o egzaminach wstępnych” — redakcja „Życia Szkoły Wyższej” zachęca do kolejnej dyskusji. Autor przypomina różne „za i przeciw” wypracowane w związku z obowiązującym systemem przyjęć na studia wyższe, informując jednocześnie, iż obowiązujące zarządzenie w tej sprawie wydane zostało 11 lat temu.

W numerze piszą też m.in.: Maria Susłowska o „Czynnikach psychosocjalnych odpadu i odpowiadaniu na I rok studiów w Uniwersytecie Jagiellońskim” (cz. II), Anna Zandzka o „Wpływie środowiska społecznego na wybór kierunku studiów”.

Miesięcznik „WIES WSPÓŁCZESNA” konsekwentnie penetruje tereny oświatowe polskiej wsi. W 7 numerze Halina Romanowska-Lakoma publikuje artykuł pt. „Wychowawcze potrzeby młodego pokolenia wsi na tle przemian społeczno-kulturalnych”. Publikacja jest wstępnym dokumentem z badań prowadzonych przez Katedrę Pedagogiki WSR w Lublinie na terenie jednej miejscowości. Zarezerwowany materiał ma charakter hipotetyczny, tym niemniej zasługuje na uwagę.

Sygnalizowałem już dwiema ankietami, a na zakończenie przyjdzie mi wspomnieć o trzeciej. Czasopismo „DZUŻYNA” zwróciło się do grupy kilkudziesięciu harcerzy z pytaniem: „Chcielibyśmy, żebyś próbował określić, czym jest dla Ciebie polskość”. Najbardziej charakterystyczne odpowiedzi redakcja publikuje w numerze 30 w artykule pt. „Być Polakiem...”. Dla zachęty wybieram rozdział „Zalety i wady” widziane oczami 15- 16-, 18-latków.

„Polak według mnie jest nerwowy i wytrzymali”. „Każdy Polak różni się od innych nacji tym, że jest gościnny i zawzięty”. „Przedtępn Polak odróżnia się odwaga i przeornością, śmiałością w wypowiedziach swoich myśli”. „Polaków przede wszystkim cechuje odwaga i wytrwałość w walce o poprawę życia”. „Polaka, moim zdaniem, charakteryzuje patriotyzm, wola walki nie tylko o swoją sprawę. Chcielibyśmy jednak, aby Polacy przestali słyszeć z tego, że pija za dużo alkoholu”. „Cechy dodatnie — patriotyzm. Wady — nieumiejętność organizacji pracy”.

NA
TRASIE
POWIAT

Jednak jest to pewna prawidłowość, stwierdziłszy ją kilkakrotnie, im dłużej na stanowisku inspektora pozostaje ta sama osoba — tym sprawniej, tym spokojniej przebiega praca w powiecie.

Tak było w Inowrocławiu, tak było w Ostródzie, tak jest i w Płońsku. Mimo że ani Ostróda, ani Płońsk nie należą (w przeciwieństwie do Inowrocławia) do powiatów łatwych, i tu i tam społeczeństwo niezbyt zamożne, i tu i tam brak też jakichś, od lat ukształtowanych tradycji troski o szkołę.

Inspektor Jerzy Dolński od sześciu lat kieruje wydziałem oświaty, w inspektoracie pracuje już jednak od lat 15. Zna więc każdą szkołę w terenie, każde środowisko, każdego nauczyciela. A znać — to znaczy móc przyjąć z właściwą pomocą, umieć odpowiednio zhierarchizować potrzeby, wiedzieć co jest najpilniejsze i najwłaściwsze.

Nowy rok szkolny — nowe kłopoty i obowiązki. O nowym roku myślało tu już jednak dużo wcześniej, dużo przed zakończeniem ubiegłego. Kropki wakacji, ny numer 1? Oczywiście inwestycje i remonty. Właściwie myśli się o nich permanentnie. Dlatego to tak skrupulatnie prowadzi się w szkołach tzw. „Dzienniczek remontów” (wzór z Dziennika Urzędowego nr 1 z 1962 roku), dlatego już w marcu w każdej szkole pojawia się komisja, która decyduje, jakie remonty są potrzebne, sporządza orientacyjny kosztorys i wpisuje swoje decyzje do „Dzienniczka”. W skład Komisji wchodzi: kierownik szkoły, fachowiec budowlany i (co najwłaściwsze) 2-3 członkowie Komisji Oświaty GRN. Podpis złożony w „Dzienniczku” zobowiązuje. Od tej chwili część odpowiedzialności przechodzi na GRN. A zobowiązania trzeba wykonać, bo sprawa terenowych remontów zainteresowanych jest również przewodniczącą PRN, który poświęca temu problemowi co roku specjalną naradę „ojców gromad”. To wspólne zainteresowanie i wspólna odpowiedzialność dają rezultaty.

W terenie inspektora Dolńskiego leżą (już w końcu lipca) raporty z poszczególnych gromad, dotyczące przebiegu prac remontowych.

GRN Radziny — remont szkoły w Radzynie ukończono; w Porsturze zakończony ma być do 30 lipca bieżącego roku; roboty przebiegają sprawnie.

GRN Sochocin — remonty szkół w Kępie, Smardzewie i Sochocinie ukończone zostaną na czas. W Sochocinie przebiegają wprawdzie na kolonijach dzieci, ale są to kolonie Przedsiębiorstwa Budowlanego, które w zamian zobowiązało się przeprowadzić remont w szybszym tempie, aby na koniec sierpnia wszystko było gotowe.

GRN Kołozon — w remoncie są dwie szkoły. Prace już przeprowadzone wskazują, iż budynki będą ukończone w terminie.

GRN Kaczorowa — szkoła w Niedarżynie wyjątkowo dobrze utrzymywana. Od trzech lat nie wymaga żadnych remontów. W trzech pozostałych szkołach — roboty w toku. Ukończone zostaną na czas.

GRN Nowe Miasto — prace remontowe w toku, ich przebieg nie nastrocza obaw co do terminowego zakończenia.

GRN Baboszewo — w dwóch szkołach roboty zakończone, re-

mont trzeciego budynku na ukończeniu.

GRN Grawe — sytuacja ciężka. Jeszcze w żadnej szkole nie rozpoczęto remontów.

GRN Czerwinko — remontów jeszcze nie rozpoczęto. Mają zacząć w końcu lipca.

GRN Naruszewo — remonty rozpoczęte we wszystkich szkołach. Kłopoty z naprawą dachów ze względu na brak blachy.

Na ogół raporty więc pomyślne, a tam gdzie występują sytuacje awaryjne jeszcze jest czas zapobiec większym kłopotom.

— Wiele remontów robimy systemem gospodarczym przy pomocy miejscowych. Jeśli zaś chodzi o zaopatrzenie w materiały, to nasi kierownicy szkół wykazują niebywałą spryt. Ułatwia im to w niemałym miarze życzliwość stosunek rad narodowych. —

Podobnie bezawaryjnie przebiegają remonty kapitalne. W Guminie roboty obliczone na około 200 tysięcy złotych są bardzo zaawansowane. W Strzebowie duży remont na 600 tysięcy złotych rozłożono na dwa lata. Prace jednak będą tak prowadzone, aby nie kolidowały z zajęciami szkolnymi.

Czytamy raporty, słuchamy wyjaśnień. Wszystko to jakieś uporządkowane, planowe. Nie wyczuwa się niepokoju i zdenerwowania.

A przecież nie tylko prace remontowe są w toku. Jednocześnie prowadzi się budowę nowych obiektów i rozbudowę w kilku szkołach.

15-izobowa szkoła w Płońsku oddana zostanie bądź 31 lipca, bądź 5 sierpnia. Budowa trwała zaledwie 1,5 roku. W połowie sierpnia Inspektorat przejmie 7-izobową szkołę w Kamieniu. Te szkoły budowano w ciągu roku. Oba obiekty są dziełem Cichanowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego.

Wyjątkowo solidna firma — mówi inspektor.

Byłam na miejscu, sprawdziłam, mogę potwierdzić. Piękna nowa szkoła jest na ukończeniu;

bre rozumienie procesów produkcyjnych, które pracownik naukowy może wręcz zrewolucjonizować poprzez wyniki swych badań, ale uprzednio poznać je musi.

Rzecz oczywista, nie tyczy to wszystkich dziedzin nauki i wszystkich typów pracy badawczej, ale i o tym aspekcie sprawy przygotowania pracownika naukowego zapominąć nie wolno.

W dalszej części artykułu autor pisze między innymi o doborze tematu pracy doktorskiej, o niedocenianiu hobbystów, tj. tych, którzy podejmują pracę doktorską, ale z reguły nie pragną się stać zawodowymi pracownikami nauki, stwierdza, że ogólnie biorąc, poziom prac doktorskich u nas należy uznać za znakomite, w większości wypadków za zadowalający, natomiast sprawę systemu stypendiów uzupełniających.

„Życie Literackie” z 30 lipca zaprasza swoich czytelników do dyskusji na temat tegorocznych wyników egzaminów na wyższe uczelnie. Egzaminu nie ujawniły, że młodzież była gorzej przygotowana niż w latach ubiegłych. Niejako wprowadzeniem do tej dyskusji jest artykuł Mariana Falskiego: „Zaczęło się od filozofii dwoj”. Dyskusja winna prowadzić — zdaniem Mariana Falskiego — do rewizji ogólnych założeń naszej polityki szkolnej zarówno w dziedzinie programowo-

dydaktycznej, jak i w dziedzinie organizacyjnej w ramach całego szkolnictwa. Te właśnie założenia, a nie poglądy, warunkowały, w jakich uczelnie funkcjonują aktualnie oraz realizują swe trzy podstawowe zadania, a mianowicie: 1) zadania dydaktyczno-wychowawcze, 2) rozwijanie badań naukowych, 3) kształcenie pracowników naukowo-badawczych i naukowo-dydaktycznych dla potrzeb szkół wyższych oraz instytucji.”

Przy omawianiu problemów zmian strukturalnych uniwersytetów autor zwraca uwagę na nadmierną sztywność form organizacyjnych, „...brak krzyżujących się powiązań różnych poziomów powoływanych w miarę istnienia potrzeb na okres niezbędny dla zrealizowania postawionego przed nim zadania. Forma strukturalna ma tylko wtedy swój sens oraz spełnia pozytywną rolę, jeżeli odpowiada

instalacje elektryczne i ogrzewnicze już założone, obecnie trwają prace wykończeniowe. Kierownik robót, jeszcze niezadowolony. — Obiecują nam po niedzieli kilku ludzi do pracy więcej, wtedy tempo wzrośnie.

Trzy obiekty — budowane z funduszy SFSBII — w Gości minie, Czerwinku i Płońsku bądź już zakończono, bądź na ukończeniu.

Nieźle też przebiegają prace z tzw. czynów społecznych. Tu — warto zwrócić na to uwagę — buduje się między innymi dwa Domy Nauczyciela: w Ciekiesynie i Sarbiewie. Dom w Sarbiewie przewidziany na 6 rodzin, oddany zostanie uroczystie wraz z nowym budynkiem GRN i Ośrodkiem Zdrowia.

Ciekiesyn? Rekordowe tempo. W ciągu niecałego roku wybudowano śliczny, komfortowy, trzy pokojowy domek jednorodzinny.

Kolega, który oprowadza mnie — w zastępstwie nieobecnego kierownika — jest pełen doświadczeń: ten domek, to pierwszy z „serii” jaką mamy w planie. Ten tu duży, więc jeszcze kilka takich „willi” się zmieści. A naszemu kierownikowi energii nie brak. Zresztą mamy pewne poparcie w GRN. Obecnie gospodarze — zdają za pokój 200 zł. Wiedzą, że gromadzka rada musi wyznaczyć, więc wykorzystują koniunkturę. W tej sytuacji GRN woli pomóc przy budowie domków niż ustawicznie walczyć z problemem mieszkań. Naszą największą bolączką jest szkoła. Te stare pomieszczenia baraki z trudem „obstugują” 350 dzieci.

Realizacja planu budowy mieszkań bardzo pożądana. Z 11-osobowego zespołu tylko dwoje kolegów ma własne mieszkania, a dwoje mieszka w budynku (bardzo zniszczonym) przy szkole. Reszta u gospodarzy.

Budowa szkoły w Ciekiesynie jest w planie. A jeśli chodzi o mieszkania dla nauczycieli — powiedziano mi w Inspektoracie — to wszędzie mamy z tym kłopoty. To znaczy: wszyscy mieszkańcy. Ten swój obowiązek GRN wypełnia w 100 procentach. Ale w wielu wypadkach, bo aż u 50 proc. mieszkańców nie wynajmowa-

ni są u gospodarzy, często nieodpowiednie, a także coraz tośniej. Stąd zresztą tak żywe zainteresowanie GRN budową domów nauczycielskich. Ceny wynajmu stanowią coraz poważniejsze obciążenie budżetów rad

rodzowych. My ze swej strony też ustawicznie podnosimy problem mieszkań na wszystkich naradach.

Milton złotych, jaki otrzymaliśmy w ubiegłym roku z dodatkowych funduszy mamy już rozplanowany. W toku prac przygotowawczych są budowy mieszkań w Kucicach, Sobanicach, Grawie, Czerwinku i Sarnowie. O temple budowy zadecyduje w dużej mierze inicjatywa kierownika szkoły i miejscowych władz. Nie rozwiąże nam to jednak jeszcze całkowicie problemu.

Od mieszkań nauczycielskich rozmowa schodzi na nowe, bolesne sprawy powiatowej oświaty. Izby lekcyjne... Nie jest najgorzej, ale do stanu wymaganego przepisami brak w Płońskim jeszcze 47 izb, 44 pracowni i klaso-pracowni (na 74 posiadanych)

Dość obszernie relacjonowałem toczącą się na łamach „Polityki” dyskusję o doktoratach, w której brali udział uczeni, którzy sami niejednokrotnie byli promotorami prac doktorskich. Zainicjowaną w numerze z 22 kwietnia dyskusję podsumowuje w „Polityce” z 29 lipca prof. dr Henryk Jabłoński — minister oświaty i szkolnictwa wyższego. Tytuł artykułu: „Jeszcze o doktoratach”.

Na wstępie H. Jabłoński podkreśla, że sprawy tytułów i stopni naukowych i doc. i jakości prac naukowych żyją i interesują dzisiaj nie tylko nieletnie grona fachowców, ale szeroko-

dydaktycznej, jak i w dziedzinie organizacyjnej w ramach całego szkolnictwa. Te właśnie założenia, a nie poglądy, warunkowały, w jakich uczelnie funkcjonują aktualnie oraz realizują swe trzy podstawowe zadania, a mianowicie: 1) zadania dydaktyczno-wychowawcze, 2) rozwijanie badań naukowych, 3) kształcenie pracowników naukowo-badawczych i naukowo-dydaktycznych dla potrzeb szkół wyższych oraz instytucji.”

Przy omawianiu problemów zmian strukturalnych uniwersytetów autor zwraca uwagę na nadmierną sztywność form organizacyjnych, „...brak krzyżujących się powiązań różnych poziomów powoływanych w miarę istnienia potrzeb na okres niezbędny dla zrealizowania postawionego przed nim zadania. Forma strukturalna ma tylko wtedy swój sens oraz spełnia pozytywną rolę, jeżeli odpowiada

instalacje elektryczne i ogrzewnicze już założone, obecnie trwają prace wykończeniowe. Kierownik robót, jeszcze niezadowolony. — Obiecują nam po niedzieli kilku ludzi do pracy więcej, wtedy tempo wzrośnie.

Trzy obiekty — budowane z funduszy SFSBII — w Gości minie, Czerwinku i Płońsku bądź już zakończono, bądź na ukończeniu.

Nieźle też przebiegają prace z tzw. czynów społecznych. Tu — warto zwrócić na to uwagę — buduje się między innymi dwa Domy Nauczyciela: w Ciekiesynie i Sarbiewie. Dom w Sarbiewie przewidziany na 6 rodzin, oddany zostanie uroczystie wraz z nowym budynkiem GRN i Ośrodkiem Zdrowia.

Ciekiesyn? Rekordowe tempo. W ciągu niecałego roku wybudowano śliczny, komfortowy, trzy pokojowy domek jednorodzinny.

Kolega, który oprowadza mnie — w zastępstwie nieobecnego kierownika — jest pełen doświadczeń: ten domek, to pierwszy z „serii” jaką mamy w planie. Ten tu duży, więc jeszcze kilka takich „willi” się zmieści. A naszemu kierownikowi energii nie brak. Zresztą mamy pewne poparcie w GRN. Obecnie gospodarze — zdają za pokój 200 zł. Wiedzą, że gromadzka rada musi wyznaczyć, więc wykorzystują koniunkturę. W tej sytuacji GRN woli pomóc przy budowie domków niż ustawicznie walczyć z problemem mieszkań. Naszą największą bolączką jest szkoła. Te stare pomieszczenia baraki z trudem „obstugują” 350 dzieci.

Realizacja planu budowy mieszkań bardzo pożądana. Z 11-osobowego zespołu tylko dwoje kolegów ma własne mieszkania, a dwoje mieszka w budynku (bardzo zniszczonym) przy szkole. Reszta u gospodarzy.

Budowa szkoły w Ciekiesynie jest w planie. A jeśli chodzi o mieszkania dla nauczycieli — powiedziano mi w Inspektoracie — to wszędzie mamy z tym kłopoty. To znaczy: wszyscy mieszkańcy. Ten swój obowiązek GRN wypełnia w 100 procentach. Ale w wielu wypadkach, bo aż u 50 proc. mieszkańców nie wynajmowa-

ni są u gospodarzy, często nieodpowiednie, a także coraz tośniej. Stąd zresztą tak żywe zainteresowanie GRN budową domów nauczycielskich. Ceny wynajmu stanowią coraz poważniejsze obciążenie budżetów rad

rodzowych. My ze swej strony też ustawicznie podnosimy problem mieszkań na wszystkich naradach.

Milton złotych, jaki otrzymaliśmy w ubiegłym roku z dodatkowych funduszy mamy już rozplanowany. W toku prac przygotowawczych są budowy mieszkań w Kucicach, Sobanicach, Grawie, Czerwinku i Sarnowie. O temple budowy zadecyduje w dużej mierze inicjatywa kierownika szkoły i miejscowych władz. Nie rozwiąże nam to jednak jeszcze całkowicie problemu.

rodzowych. My ze swej strony też ustawicznie podnosimy problem mieszkań na wszystkich naradach.

Milton złotych, jaki otrzymaliśmy w ubiegłym roku z dodatkowych funduszy mamy już rozplanowany. W toku prac przygotowawczych są budowy mieszkań w Kucicach, Sobanicach, Grawie, Czerwinku i Sarnowie. O temple budowy zadecyduje w dużej mierze inicjatywa kierownika szkoły i miejscowych władz. Nie rozwiąże nam to jednak jeszcze całkowicie problemu.

Od mieszkań nauczycielskich rozmowa schodzi na nowe, bolesne sprawy powiatowej oświaty. Izby lekcyjne... Nie jest najgorzej, ale do stanu wymaganego przepisami brak w Płońskim jeszcze 47 izb, 44 pracowni i klaso-pracowni (na 74 posiadanych)

Dość obszernie relacjonowałem toczącą się na łamach „Polityki” dyskusję o doktoratach, w której brali udział uczeni, którzy sami niejednokrotnie byli promotorami prac doktorskich. Zainicjowaną w numerze z 22 kwietnia dyskusję podsumowuje w „Polityce” z 29 lipca prof. dr Henryk Jabłoński — minister oświaty i szkolnictwa wyższego. Tytuł artykułu: „Jeszcze o doktoratach”.

Na wstępie H. Jabłoński podkreśla, że sprawy tytułów i stopni naukowych i doc. i jakości prac naukowych żyją i interesują dzisiaj nie tylko nieletnie grona fachowców, ale szeroko-

dydaktycznej, jak i w dziedzinie organizacyjnej w ramach całego szkolnictwa. Te właśnie założenia, a nie poglądy, warunkowały, w jakich uczelnie funkcjonują aktualnie oraz realizują swe trzy podstawowe zadania, a mianowicie: 1) zadania dydaktyczno-wychowawcze, 2) rozwijanie badań naukowych, 3) kształcenie pracowników naukowo-badawczych i naukowo-dydaktycznych dla potrzeb szkół wyższych oraz instytucji.”

Przy omawianiu problemów zmian strukturalnych uniwersytetów autor zwraca uwagę na nadmierną sztywność form organizacyjnych, „...brak krzyżujących się powiązań różnych poziomów powoływanych w miarę istnienia potrzeb na okres niezbędny dla zrealizowania postawionego przed nim zadania. Forma strukturalna ma tylko wtedy swój sens oraz spełnia pozytywną rolę, jeżeli odpowiada

instalacje elektryczne i ogrzewnicze już założone, obecnie trwają prace wykończeniowe. Kierownik robót, jeszcze niezadowolony. — Obiecują nam po niedzieli kilku ludzi do pracy więcej, wtedy tempo wzrośnie.

Trzy obiekty — budowane z funduszy SFSBII — w Gości minie, Czerwinku i Płońsku bądź już zakończono, bądź na ukończeniu.

Nieźle też przebiegają prace z tzw. czynów społecznych. Tu — warto zwrócić na to uwagę — buduje się między innymi dwa Domy Nauczyciela: w Ciekiesynie i Sarbiewie. Dom w Sarbiewie przewidziany na 6 rodzin, oddany zostanie uroczystie wraz z nowym budynkiem GRN i Ośrodkiem Zdrowia.

Ciekiesyn? Rekordowe tempo. W ciągu niecałego roku wybudowano śliczny, komfortowy, trzy pokojowy domek jednorodzinny.

Kolega, który oprowadza mnie — w zastępstwie nieobecnego kierownika — jest pełen doświadczeń: ten domek, to pierwszy z „serii” jaką mamy w planie. Ten tu duży, więc jeszcze kilka takich „willi” się zmieści. A naszemu kierownikowi energii nie brak. Zresztą mamy pewne poparcie w GRN. Obecnie gospodarze — zdają za pokój 200 zł. Wiedzą, że gromadzka rada musi wyznaczyć, więc wykorzystują koniunkturę. W tej sytuacji GRN woli pomóc przy budowie domków niż ustawicznie walczyć z problemem mieszkań. Naszą największą bolączką jest szkoła. Te stare pomieszczenia baraki z trudem „obstugują” 350 dzieci.

Realizacja planu budowy mieszkań bardzo pożądana. Z 11-osobowego zespołu tylko dwoje kolegów ma własne mieszkania, a dwoje mieszka w budynku (bardzo zniszczonym) przy szkole. Reszta u gospodarzy.

Budowa szkoły w Ciekiesynie jest w planie. A jeśli chodzi o mieszkania dla nauczycieli — powiedziano mi w Inspektoracie — to wszędzie mamy z tym kłopoty. To znaczy: wszyscy mieszkańcy. Ten swój obowiązek GRN wypełnia w 100 procentach. Ale w wielu wypadkach, bo aż u 50 proc. mieszkańców nie wynajmowa-

ni są u gospodarzy, często nieodpowiednie, a także coraz tośniej. Stąd zresztą tak żywe zainteresowanie GRN budową domów nauczycielskich. Ceny wynajmu stanowią coraz poważniejsze obciążenie budżetów rad

rodzowych. My ze swej strony też ustawicznie podnosimy problem mieszkań na wszystkich naradach.

Milton złotych, jaki otrzymaliśmy w ubiegłym roku z dodatkowych funduszy mamy już rozplanowany. W toku prac przygotowawczych są budowy mieszkań w Kucicach, Sobanicach, Grawie, Czerwinku i Sarnowie. O temple budowy zadecyduje w dużej mierze inicjatywa kierownika szkoły i miejscowych władz. Nie rozwiąże nam to jednak jeszcze całkowicie problemu.

Od mieszkań nauczycielskich rozmowa schodzi na nowe, bolesne sprawy powiatowej oświaty. Izby lekcyjne... Nie jest najgorzej, ale do stanu wymaganego przepisami brak w Płońskim jeszcze 47 izb, 44 pracowni i klaso-pracowni (na 74 posiadanych)

Dość obszernie relacjonowałem toczącą się na łamach „Polityki” dyskusję o doktoratach, w której brali udział uczeni, którzy sami niejednokrotnie byli promotorami prac doktorskich. Zainicjowaną w numerze z 22 kwietnia dyskusję podsumowuje w „Polityce” z 29 lipca prof. dr Henryk Jabłoński — minister oświaty i szkolnictwa wyższego. Tytuł artykułu: „Jeszcze o doktoratach”.

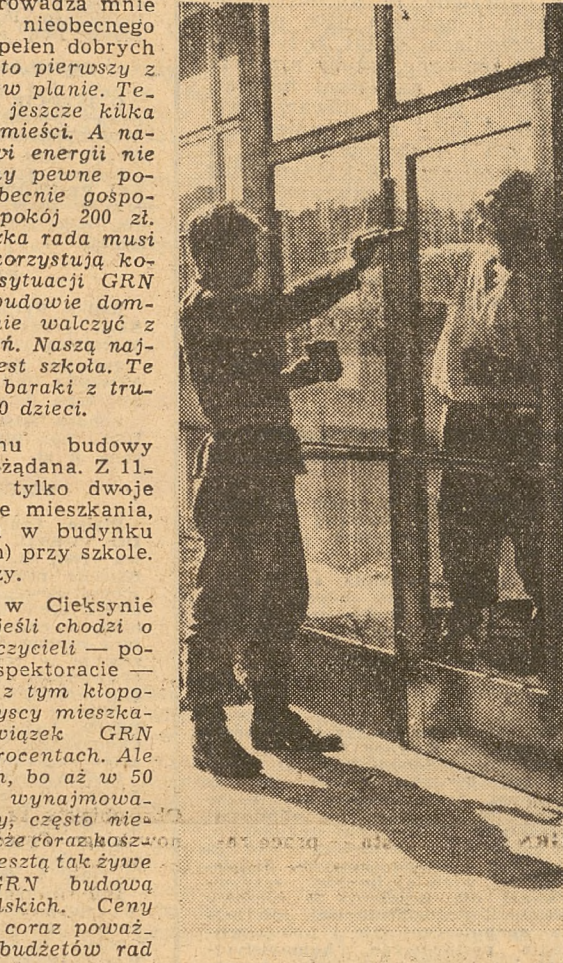
Na wstępie H. Jabłoński podkreśla, że sprawy tytułów i stopni naukowych i doc. i jakości prac naukowych żyją i interesują dzisiaj nie tylko nieletnie grona fachowców, ale szeroko-

dydaktycznej, jak i w dziedzinie organizacyjnej w ramach całego szkolnictwa. Te właśnie założenia, a nie poglądy, warunkowały, w jakich uczelnie funkcjonują aktualnie oraz realizują swe trzy podstawowe zadania, a mianowicie: 1) zadania dydaktyczno-wychowawcze, 2) rozwijanie badań naukowych, 3) kształcenie pracowników naukowo-badawczych i naukowo-dydaktycznych dla potrzeb szkół wyższych oraz instytucji.”

Przy omawianiu problemów zmian strukturalnych uniwersytetów autor zwraca uwagę na nadmierną sztywność form organizacyjnych, „...brak krzyżujących się powiązań różnych poziomów powoływanych w miarę istnienia potrzeb na okres niezbędny dla zrealizowania postawionego przed nim zadania. Forma strukturalna ma tylko wtedy swój sens oraz spełnia pozytywną rolę, jeżeli odpowiada

instalacje elektryczne i ogrzewnicze już założone, obecnie trwają prace wykończeniowe. Kierownik robót, jeszcze niezadowolony. — Obiecują nam po niedzieli kilku ludzi do pracy więcej, wtedy tempo wzrośnie.

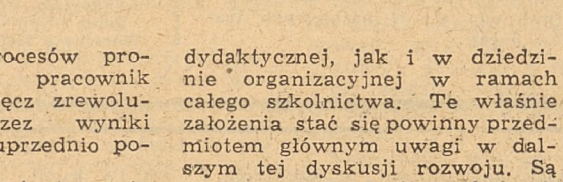
Trzy obiekty — budowane z funduszy SFSBII — w Gości minie, Czerwinku i Płońsku bądź już zakończono, bądź na ukończeniu.



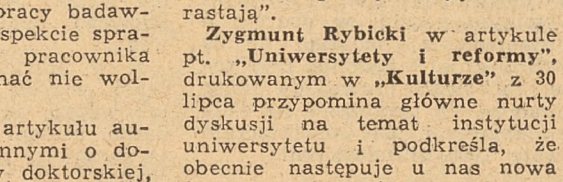
JA ŁAMACH PRASY



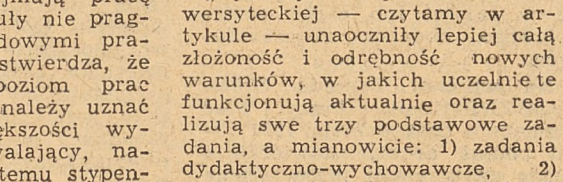
JA ŁAMACH PRASY



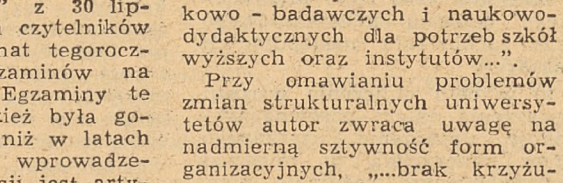
JA ŁAMACH PRASY



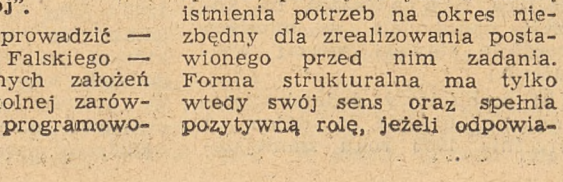
JA ŁAMACH PRASY



JA ŁAMACH PRASY



JA ŁAMACH PRASY



JA ŁAMACH PRASY

i 34 sal gimnastycznych. To utrudnia pracę, podobnie jak komplikuje ją nie zawsze właściwy „rozkład” nauczycieli z dodatkowymi kwalifikacjami. Mi, do że jest ich wielu, bo aż 52 proc. Wprawdzie nie ma takiej ośmiolatki, w której nie byłoby ani jednego specjalisty, ale pełną obsługę trzech podstawowych specjalności ma tylko 1/3 szkół. Sprawnie przebiega wykorzystanie funduszy na pomoce i sprzęt.

Pytam o jeszcze jeden, dość powsze

Zaniepokojonej Matce

List był anonimowy. Moglibyśmy zatem machnąć ręką i pozostawić go bez odpowiedzi. Uderzyła nas jednak treść, problem, który już od dawna zniknął z redakcyjnej korespondencji. Anachronizm tego reliktu — rodem sprzed 20 lat, z czasów, kiedy jeszcze praktyka życiowa nie dała jasnej odpowiedzi na podobne kwestie — tkwi zarówno w samym pytaniu, jak i w klimacie tej dziwacznej korespondencji.

„Byliśmy wczoraj w towarzystwie — pisze nasza czytelniczka — gdzie rozmowa skierowała się na temat: czy dziecko moje może zostać nauczycielką. Jedną z wpływowych i bardzo szanowanych w środowisku nauczycielskim osób powiedziała, że nie. A to dlatego, że jest wierzącą i praktykującą katoliczką. Córka podstuchiła tę rozmowę i jest całkowicie przygnębiona, gdyż bardzo pragnęłaby zostać nauczycielką. Ja się osobiście nie zgadzam z takim stanowiskiem, gdyż wiem, że konstytucja zapewnia wszystkim obywatelom wolność sumienia i wyznania. i

że żadna ustawa nie może stać w sprzeczności z konstytucją. Nie przekonuje mnie więc, żeby wyznanie mogło być przyczyną eliminującą człowieka z zawodu nauczyciela. Różne tematy poruszacie na łamach „Głosu”, napiszcie więc jasno i wyraźnie, czy wierzący może być nauczycielem, bo jestem bardzo niespokojna”.

Miła Czytelniczko, obawiamy się, że „szanowana i wpływowa osoba” albo nie jest taka bardzo szanowana, albo po prostu mówi nieco od rzeczy.

Konstytucja nasza gwarantuje każdemu wolność wyznania. Po 23 latach istnienia Polski Ludowej każdy wie doskonale, że zasada ta jest przestrzegana w całej rozciągłości i z całą konsekwencją, że każdy ma prawo nie tylko wierzyć w co mu się podoba, ale również wypełniać wszelkie zalecenia przez jego wyznanie praktyki.

Nikt nigdy nikogo o jego przekonania nie pyta, w żadnej ankiecie (poza ankietami wymaganymi przez kraje zachodnie) nie

ma rubryki dotyczącej spraw wiary. To, czy ktoś jest wierzący, czy nie, nie ma żadnego znaczenia ani przy przyjmowaniu do pracy, ani na studia. Żadne studia, a więc nauczycielskie również.

Jednak szkoła nasza jest szkołą świecką, laicką i zgodnie z tym realizuje laicki program nauczania, oparty na materialistycznym, naukowym światopoglądzie. Nauczyciel obowiązany jest taki właśnie a nie inny program realizować, w myśl takich, a nie innych założeń dzieci uczęć. Nikt nie pyta nauczyciela, jakie są jego osobiste poglądy na sprawy wiary, ale wymaga się — i chyba z pełną słusnością — żeby tych swoich poglądów, o ile nie są zgodne z linią reprezentowaną przez szkołę, nie przekazywał dzieciom, nie narzucał im. Właśnie w myśl wolności wyznania, w myśl nieingerencji w niczyje osobiste życie, a więc w życie dzieci również.

Piszemy o tym dla pełnej jasności, choć w zasadzie wszyscy to już od dawna wiedzą. Wie zresztą i nasza korespondentka. Piszcie przecież sama „że, konstytucja... itd”. Co więcej, pisze iż jako działaczka komitetu rodzicielskiego bierze aktywny udział w życiu szkoły, mogła więc chyba wielokrotnie przekonać się, jak dalece nie interesuje się szkoła sprawą wyznania ani dzieci, ani nauczycieli.

A jednak pyta. Pyta w sposób dramatyczny: „czy dziecko moje może być nauczycielką?”. Mało,

list podpisuje „zaniepokojona matka”, ukrywając pod tym pseudonimem swoje nazwisko, gdyż: „obawiam się — stwierdza — że, by przez to nie ucierpiało moje dziecko”.

I tu właśnie jest moment irytujący. Skąd ta psychoza? Skąd te nastroje? Chciałabym wiedzieć, Miła Czytelniczko, czy pani naprawdę w to wierzy, że dziecko mogłoby ucierpieć? W jaki sposób?

Czy nigdy nie widziała pani dziewczynkę w białych komunijnych sukienkach, paradyjących po ulicy, czy nie słyszała pani o punktach katechetycznych, oficjalnie uznanych przez państwo, do których oficjalnie uczęszczają dzieci? Czy ktokolwiek kiedykolwiek zastanawiał się nad tym, czy zareagował nauczyciel, szkoła, czy kto bądź inny na taką, oficjalną przecież, manifestację poglądów religijnych? Nie dajmy się zwariować, proszę pani. Bo naprawdę te katastroficzne pytania i nastroje dziś, po doświadczeniach 23 lat, byłyby po prostu śmieszne, gdyby nie były irytujące. A nawiasem mówiąc, radzimy zmienić towarzystwo, poszukać ludzi może mniej szanowanych i wpływowych, ale za to mądrzejszych. W każdym bądź razie nie radzimy zwracać córce głowy nonsensami. A raczej dopilnować, żeby się dobrze uczyła, bo od nauczycieli wymaga się obecnie przede wszystkim rzetelnej wiedzy. I to jest najważniejsze.

KAR

Nowości Wydawnicze

HISTORYCZNE, POLITYCZNE, SPOŁECZNE

Stanisław Markiewicz: **WSPÓŁCZESNE CHRZĘŚCJANSTWO W POLSCE**. KiW, Warszawa 1967, s. 194, cena 12 zł. Autor podjął próbę zwięzłego przedstawienia w niniejszej książce stanu posiadania i aktualnej działalności najważniejszych nierymskokatolickich kościołów w Polsce.

Bolesław Drobnier: **BEZUSTANNA WALKA**. Tom III. Wspomnienia 1936-1944. PIW, Warszawa 1967, s. 216, cena 20 zł.

Leon Wanat: **ZA MURAMI PAWIAKA**. KiW, Warszawa 1967, s. 548, cena 32 zł.

Z POLA WALKI. Kwartalnik poświęcony dziejom ruchu robotniczego. Rocz. X. KiW, Warszawa 1967, s. 274, cena 20 zł.

POPULARNONAUKOWE

O ISTOCIE ŻYCIA. Praca zbiorowa. Przekł. A. Bednarczyk, KiW, Warszawa 1967, s. 294, cena 50 zł.

Samuel Tolansky: **OSOBLIWOCI PROMIENI I FAŁ ŚWIETŁNYCH**. PWN, Warszawa 1967, s. 144, cena 10 zł. Wydawnictwo Omegi.

PROFILE

Radko Pytlík: **JAROSŁAW HASEK**. Przekł. E. Madany, WP, Warszawa 1967, s. 238, cena 15 zł. Jadwiga Rytel: **JAN KOCHANOWSKI**. WP, Warszawa 1967, s. 250, cena 20 zł.

Bohdan Galster: **MIKOŁAJ GOGOL**. WP, Warszawa 1967, s. 394, cena 25 zł.

BELETRYSTYKA

Blaise Cendrars: **OD PORTU DO PORTU**. Czytelnik, Warszawa 1967, s. 606, cena 31 zł. Książka należy do cyklu autobiograficznego, który odzwierciedla życie wiozącego i awanturnika, a nade wszystko fascynującą osobowość pisarza. Tu występuje w roli brytyjskiego korespondenta wojennego w drugiej wojnie światowej.

Julio Cortazar: **TAJEMNA BRON**. Opowiadania. Przekł. Z. Chądzyńska. Autor jest wybitnym pisarzem argentyńskim. William Faulkner: **WIELKI LAS**. Przekł. Z. Kierszys i Z. Zakrzewski. PIW, Warszawa 1967, s. 184, cena 15 zł.

Józef Hen: **OPOWIADANIA WYBRANE**. Czytelnik, Warszawa 1967, s. 596, cena 23 zł. Lew Kaitenberg: **AYANA Z DELTY PUNAMI**. Czytelnik, Warszawa 1967, s. 242, cena 13 zł. Maria Szulecka: **CZEREMCHA PACHNIE GÓRZKO**. Wyd. Łódźkie. Łódź, 1967, s. 280, cena 17 zł. Treścią książki jest miłość młodej dziewczyny do wiejskiego chłubiaka.

Aleksy Tołstoj: **DROGA PRZEZ MEKE**. Czytelnik, Warszawa 1967, cena I, II, III tomu 60 zł.

Feliks Timmermans: **ADRIAEN BROUWER**. Przekł. J. Frühling, PIW, Warszawa 1967, s. 139, cena 12 zł. Autor jest wybitnym przedstawicielem literatury flamandzkiej, książka jest powieścią biograficzną poświęconą życiu i twórczości malarza flamandzkiego, Adriaena Brouwera. John Updike: **FARMA**. PIW, Warszawa 1967, s. 182, cena 12 zł.

NA OBCHODY 100 ROCZNICY URODZIN MARIII SKŁODOWSKIEJ-CURIE 14 LAUREATÓW NAGRODY NOBLA PRZYJDZIE DO WARSZAWY

Zbliżają się centralne obchody 100 rocznicy urodzin Marii Skłodowskiej-Curie, dwukrotnej laureatki Nagrody Nobla.

Na czele Komitetu Honorowego Obchodów w Polsce stanął premier Józef Cyrankiewicz.

Głównym akcentem obchodów będzie zorganizowane przez Polskę międzynarodowe sympozjum naukowe, które rozpocznie się 17 października w Warszawie. Do udziału w sympozjum zaproszono najwybitniejszych fizyków i chemików z wielu krajów. Honorowymi gośćmi będą generalni dyrektorzy UNESCO i MAEA. Wśród przeszło 100 zagranicznych uczestników sympozjum przybędzie do Warszawy 14 laureatów Nagrody Nobla, między innymi uczeni tej miary, co Otto Hahn, sir John D. Cockroft, Paweł A. Czerenkow i Glenn T. Seaborg. Tematem sympozjum będzie przyszłość fizyki jądrowej, fizyki cząstek elementarnych, chemii jądrowej i radiochemii.

KONCERTY OLIVSKIE PO RAZ DZIESIĄTY

Jubileuszowy, bo X festiwal muzyki organowej w Oliwie zapowiada się bardzo interesująco. Na repertuar składa się 11 recitali muzyki organowej polskich i obcych kompozytorów, których utwory powstały pomiędzy XVI a XIX wiekiem. Wykonawcami będą muzycy polscy, radzieccy, a także francuscy i niemieccy.



W ubiegłym roku oliwskie organy zostały poddane zabiegom rekonstrukcyjnym i modernizacyjnym. Zainstalowano między innymi importowany stół gry o 5 klawiaturach i 6 wolnych kombinacjach, dobudowano pozytyw o pięknym wystroju, uzupełniono brakujące głosy. Oliwski instrument zyskał wiele zarówno jeśli chodzi o barwę głosu, jak i wygląd zewnętrzny.

KRYTYK BULGARSKI O POLSKIM TEATRZE

Czasopismo bulgarskie „Literaturn Front” opublikowało korespondencję z Polski Atanasa Natewa. Autor omawia szczegółowo swe wdrożki po teatrach warszawskich. Z uznaniem podkreśla bogaty i urozmaicony repertuar. Autor podkreśla duże wrażenie, jakie zrobiły na nim przedstawienia „Tanga” Mrożka, „Urodzin Stanleja” Pintera w Teatrze Kameralnym i „Romulus Wielki” Dürrenmatta w Teatrze Dramatycznym.

MEDAL TYSIACLECIA DLA SEKRETARZA KC KP BIAŁORUSI

Sekretarz KC PZPR, członek Prezydium Ogólnopolskiego Komitetu FJN — W. Jarosiński wręczył S. Prytyckiemu — sekretarzowi KC KP Białorusi Medal Tysiąclecia Państwa Polskiego za wybitne zasługi w krzewieniu i umacnianiu przyjaźni polsko-białoruskiej.

ZESPÓŁ HARCERSKI WYSTĘPOWAŁ W DANII

Ostatnio przebywał w Danii 35-osobowy zespół harcerskiego teatru

„Gawęda”, który w czasie występów dla publiczności duńskiej i Polonii zaprezentował program „Polska w piosence i kolorach”.

„Gawęda” uświetniła swymi występami uroczystość 40-lecia Związku Polaków w Maribo oraz doroczny zlot Polonii duńskiej w Nakskov.

400 TEATRÓW POEZJI W OGÓLNOPOLSKIM FESTIWALU POEZJI

Zorganizowany po raz trzeci przez Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz TPR Ogólnopolski Festiwal Amatorskich Teatrów Poezji objął w bieżącym roku rekordową liczbę blisko 400 zespołów. Do eliminacji przystąpiło 35 zespołów studenckich, 105 szkolnych, 150 robotniczych, 50 wiejskich i 40 wojskowych. Złożeniem tej wielkiej imprezy, zorganizowanej dla uczczenia 50 rocznicy Rewolucji Październikowej, jest dalsze popularyzowanie i upowszechnianie postępowych, humanistycznych i rewolucyjnych treści, zawartych w radzieckiej i polskiej twórczości poetyckiej, ze szczególnym uwzględnieniem dzieł o tematyce związanej z rewolucją. Zespoły zaprezentowały w czasie niedawnych wojewódzkich eliminacji interesujący i różnorodny repertuar.

W ostatnich dniach ustalono na posiedzeniu centralnego jury festiwalu, któremu przewodniczył Julian Przybysz, że do Poznania, gdzie w dniach 23-29 października bieżącego roku odbędzie się Ogólnopolski Festiwal, uda się 27 najlepszych teatrów poezji.

Wytnij — zachowaj!

ZASADY PRYZNAWANIA ZAPOMÓG DLA NAUCZYCIELI-RENCISTÓW

Na podstawie § 2 uchwały nr 11/59 Rady Ministrów z dnia 24 marca 1959 roku w sprawie środków na zapomogi dla nauczycieli rencistów, zmienionej uchwałą nr 31/61 z dnia 19 stycznia 1961 roku i uchwałą nr 52/67 z dnia 22 marca 1967 roku — minister oświaty i szkolnictwa wyższego ustalił w porozumieniu z Zarządem Głównym Związku Nauczycielstwa Polskiego zasady przyznawania zapomóg dla nauczycieli-rencistów.

1) Zapomogi będą przyznawane tym nauczycielom - rencistom, którzy pobierają renty z tytułu własnej pracy w szkolnictwie niższe niż 1000 zł miesięcznie.

2) Zapomoga powinna być przyznawana w takiej wysokości, by kwota renty oraz kwota przyznanej zapomogi sięgały w sumie 1000 zł miesięcznie. Nie będzie przyznawana zapomoga tym nauczycielom - rencistom, których kwota renty przekracza 980 zł miesięcznie.

3) Przy ustalaniu wysokości zapomogi będzie przyjmowane do wliczenia wysokości renty wraz z przysługującymi renciście dodatkami, jednak bez przejściowego dodatku mieszkaniowego.

4) Zapomoga będzie przyznawana na okres istnienia warunków uzasadniających wypłatę zapomogi.

5) Przyznane zapomogi będą wypłacane kwartalnie z dołu, w końcu każdego kwartału.

6) Zapomogi przyznaje i określa ich wysokość wydział oświaty i kultury, właściwej według miejsca zamieszkania nauczyciela-rencisty, w porozumieniu z zarządem oddziału powiatowego ZNP.

7) Zapomogi przyznawane będą na wniosek zainteresowanych w oparciu o dostarczone przez nich lub posiadane przez wydział oświaty i kultury dokumenty, stwierdzające wysokość otrzymywanej przez nauczyciela renty.

W związku z powyższym zarządy oddziałów powiatowych ZNP oraz sekcje emerytów winny zadbać o to, ażeby wszyscy uprawnieni do zapomóg nauczyciele renciści byli objęci rejestracją i otrzymywali zapomogę w wysokości i w terminie określonych w instancji.

Wypłata przejściowego dodatku mieszkaniowego dla nauczycieli-rencistów

Z dniem 1 listopada 1965 roku niektórzy nauczyciele-renci-

ści zatrudnieni w szkołach i innych placówkach oświatowo-wychowawczych w niepełnym wymiarze godzin, w oparciu o postanowienia okólnika nr 89 ZUS z dnia 9 grudnia 1965 roku, zachowali prawo do renty mimo że ich uposażenie na skutek regulacji plac przekraczało kwotę 1000 zł miesięcznie.

To przejściowe dobrodziejstwo spowodowało trwałą utratę w całości lub części przejściowego dodatku mieszkaniowego.

Na wniosek Zarządu Głównego ZNP Komitet Pracy i Plac pismem z dnia 6 maja 1967 roku podjął decyzję zawierającą zgodę na ponowne przywrócenie tym nauczycielom - rencistom od 1 września 1966 roku przejściowego dodatku mieszkaniowego przy zachowaniu następujących zasad:

a) w celu obliczenia wzrostu uposażenia należy porównać wysokość uposażenia uzyskanego przez nauczyciela w miesiącu poprzedzającym regulację plac, tj. w październiku 1965 roku. Różnica tych uposażeń na korzyść nauczyciela w miesiącu września stanowi wzrost uposażenia;

b) przejściowy dodatek mieszkaniowy ulegnie z dniem 1 września 1966 roku zmniejsze-

niu o kwotę równą 50 proc. uzyskanego wzrostu uposażenia, nie wyższą jednakże od przejściowego dodatku mieszkaniowego;

c) w przypadku, gdy uposażenie wzrosło o kwotę równą lub wyższą aniżeli 200 proc. dodatku, nastąpi trwała jego utrata począwszy od 1 września 1966 roku;

d) w przypadku, gdy uposażenie nauczyciela w miesiącu wrześniu 1966 roku było niższe od uposażenia z miesiąca października 1965 roku nauczyciel otrzymuje od 1 września 1966 roku przejściowy dodatek mieszkaniowy w pełnej wysokości otrzymywanej przed regulacją plac;

e) przejściowy dodatek mieszkaniowy wypłaca się przez okres od 1 września do 31 grudnia 1966 roku. Po tej dacie wysokość przejściowego dodatku mieszkaniowego dla nauczyciela ustala się na zasadach ogólnie obowiązujących nauczycieli.

Jednocześnie pismo Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego z dnia 29 czerwca 1967 roku nr KZ-3-1011-78/67 ustala, że nauczyciele-renciści, którym przysługuje przejściowy dodatek mieszkaniowy ustalony w powyższy sposób powinni otrzymać niezwłocznie wyrównania.

"GŁOS" WYJASNIA